Nr. 15. Warszawa, dnia 9 Kwietnia (28 Marca) 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WYBUCHY.

We Francyi, a raczej w Paryżu, zakipiały tak gwałtowne i zmieszane z sobą wrzątki, jakich tam dawno już nie widziano. Tu groził dynamit, tam wybuchała bomba, tam znowu odbywała się bijatyka w kościele, a niemal każdy dzień rodziła nową awanturę. Wypadki te nie wysnuły się z jednego kłębka, chociaż w niektórych punktach są z sobą związane. Naprzód rozpoczął swoje sztuki anarchizm. Jak tylko dostrzeżono kradzież dynamitu w Soisy-sous-Etioles, przewidywano, że on będzie użyty w celach przestępnych. Jakoż wkrótce wybuchnęła bomba pod koszarami wojskowemi, a potem zaczęły pękać inne. Z zewnętrznych warunków i oznak tak trudno było cośkolwiek odgadnąć, że pierwotnie owe miny uważano za niegodziwe „figle.“ A jeżeli nawet czasem zdradzała się pobudka zamachu, to niepodobna było zrozumieć okrucieństwa, czy szaleństwa sprawców, lekceważących sobie życie niewinnych ludzi, którzy mogli paść ofiarą. Oto jeden z charakterystycznych szczegółów, wykrytych przez policyę. Główny przywódca tych „figlów“ dynamitowych, niejaki Ravachol, inaczej zwany Leon Leger, inaczej Königstein (podejrzany o liczne morderstwa) udał się na bulwar Sain-Germain dla podłożenia bomby. Wszedłszy do domu, zapalił sobie na dole cygaro, wbiegł na drugie piętro, postawił maszynę, zapalił w niej lont i zbiegł ze schodów. Zaledwie oddalił się kilka kroków od domu—bomba wybuchnęła. Stwierdzono, że chciał on pomścić się na członku sądu apelacyjnego (Benoiscie), który skazał kilku anarchistów, ale o którego mieszkaniu dokładnie nie wiedział. To więc, że mogli przytem zginąć lub uledz ciężkiemu kalectwu ludzie niewinni — dla „mściciela“ było kwestyą podrzędną. Z pewnością zaś, gdyby został wybrany posłem do parlamentu, głosowałby i protestował z całą mocą przeciwko karze śmierci, którą sam tak szczodrze szafuje. Bardzo szczodrze! Tak np. rezultat zapalenia miny w domu przy ulicy Clichy był następujący: Schody runęły, a ściany domu popękały. Przerażeni mieszkańcy, nie mogąc zbiedz na dół, zaczęli przez okna wołać o ratunek. Sprowadziła ich straż ogniowa za pomocą drabin. Siedem osób rannych umieszczono u sąsiadów, a jedną kobietę, również zranioną, która tej nocy urodziła dziecko, zaniesiono do akuszerki. To są ofiary „zemsty.“

Dopiero gdy te sromotne wypadki ponowiły się kilkakrotnie, opinia zaczęła poważniej i trwożliwiej patrzeć na rozrzucane bomby, a organy bezpieczeństwa publicznego tropić winowajców. Dotychczas uwięziono kilkanaście osób przekonanych lub podejrzanych, pościg jednakże nie ustał.

Wielokrotnie wyrażaliśmy nasz pogląd na istotę anarchizmu, a raczej bandytyzmu nowoczesnego. Stanowi on garść odosobnioną, chociaż niejednolitą i złożoną z rozmaitych pierwiastków. Wchodzą w tę mieszaninę i fanatyczni zwolennicy przewrotu, i gotowi do szaleństw furyaci, i jednostki w swych instynktach zwyrodniałe, i żądni krwi mordercy. Kto zna nowsze wyniki badań psycho-patologicznych, ten wie, jak często zbrodniarz „urodzony,“ zamiast występować pod właściwem mianem, przedzierga się w reformatora, przetwórcę świata, mściciela krzywd ogólnych itd., fabrykując i podkładając bomby z manii, z rachuby, z chęci zdobycia łupu. Ta robota nazywa się „anarchizmem,“ a jest bandytyzmem, wreszcie histeryą i obłędem. Jakie elementy przeważały w ostatnich zamachach francuskich — dowiemy się później. Że one nie zostawią po sobie żadnego innego skutku, prócz spustoszeń, kalectw i zabójstw — zaledwie potrzebujemy dowodzić. Trudno bowiem żądać od świata, ażeby on w takim Ravacholu uznał bohatera, ażeby w nim upatrywał coś więcej nad złoczyńcę, występującego pod nazwą „anarchisty.“ Po co ten nowy tytuł, kiedy dawny jest zrozumialszy i właściwszy?

Równocześnie objawiły się we Francyi awantury w kościołach. Te wszakże wypadki są już mniej zagadkowe. Pielgrzymka do Rzymu, odezwa biskupów, cały wreszcie szereg starć między klerem a społeczeństwem, który zaostrzył sprawę rozdziału kościoła z państwem i spowodował upadek poprzedniego gabinetu, musiał rozdrażnić namiętności obu stron walczących. Gdy więc księża pomimo napomnień papieskich nie przestali bojować i w swych kazaniach wyzywać przeciwników, wrzenie doszło do takiej miary, że spowodowało skandaliczne zajścia w kościołach. Podczas gdy władze świeckie gaszą zarzewie z jednej strony, duchowne — z drugiej, zakazując księżom mieszania religii z polityką. Usiłowania chwalebne, tylko nieco spóźnione i osłabione złym przykładem. Wyższy kler nietylko powinien był powstrzymać agitacyę wcześniej, ale nadewszystko nie rozpalać jej. Dlaczego podkomendni mieli nie napadać, kiedy hasło do walki wydali wodzowie? Przecież nie wikaryusze i proboszczowie, ale biskupi rzucili pierwsi państwu rękawicę, oni są ojcami obecnego ruchu i pośrednimi sprawcami bijatyk w kościołach.

Dwa takie kłopoty wystarczyłyby do przygniecenia ministeryum bardziej doświadczonego i posiadającego większe zaufanie narodu, niż świeży i niepopularny gabinet Loubeta. Pasuje się też on rozpaczliwie z trudnościami położenia, a za całą nagrodę trudów słyszy tylko skargi, wymysły i żądania, ażeby co prędzej ustąpił. Nie dodaje mu to ani odwagi, ani zachęty. Chciałby być energicznym, a ciągle z Charybdy wpada na Scyllę i łódź swą dziurawi. Zdaje nam się jednak, że wobec ponawianych zamachów zbrodniczych i starć w kościołach, żywioły, którym zależy na utrzymaniu porządku i bezpieczeństwa, pokonają niechęć do obecnego gabinetu i — jak to już objawiło się na ostatniem posiedzeniu

Izby — wesprą go należycie. Zapewne mając tę nadzieję, Loubet zagroził, że zamknie kościoły, które będą areną gorszących zapasów.

ZATARGI STRONNICTW SZWAJCARSKICH.

Zawieszenie walki wyznaniowej, trwające w Szwajcaryi już od lat piętnastu, obecnie, zdaje się, na nowo przerwane zostanie. Nieprzejednani z prawicy i lewicy są jednakowo znużeni długim spokojem. Organy antyklerykalizmu, zwłaszcza radykalne, prowadzą żywą walkę przeciw Radzie federalnej, potępiając jej politykę zgody i umiarkowania. A mianowicie, pomimo formalnych postanowień artykułu 27 konstytucyi federalnej z r. 1874 względem neutralności wyznaniowej szkoły elementarnej, uświeczenie jej ani na krok się nie posuwa. Chodzi o to, iż w sferze oświaty ludowej kantony, a raczej gminy, chcą pozostać jedynymi sędziami. Przy takich warunkach nic dziwnego, iż szkoła pozostała w połowie Szwajcaryi w ręku księży i kongregacyonistów, pomimo że prawo federalne zabrania im wstępu do niej. Wiadomo, że ultramontanizm umie skorzystać z każdej sytuacyi: ogłasza się za prześladowanego i krzyczy w niebogłosy, gdy nie może zdobyć panowania lub gdy chcą go zrównać z innemi stronnictwami wobec prawa. Protesty tego rodzaju, które na obszerniejszej arenie ogólno-państwowej byłyby spotkane śmiechem, mają jeszcze wielką powagę po gminach i kantonach i w ten sposób artykuł 27 pozostał literą martwą. Dotychczas radykaliści spoglądali na ten stan rzeczy przez palce, ale obecnie ponieśli oni od swych przeciwników cios zbyt dotkliwy, aby mogli dłużej milczeć. Jakkolwiek więc sam lud niechętnie spoglądałby na wznowienie wszelkich zatargów wyznaniowych i pogardliwie nie zwraca uwagi na grube nawet skandale, które ostatnimi czasy miały miejsce w administracyi katonów katolickich, nie jest rzeczą niemożliwą, aby stronnictwo radykalne, zagrożone w swych stanowiskach, nie rozpaliło na nowo zarzewia niezgody. Rzecz ma się tak: Wszystkie odłamy partyi postępowej są wściekłe na konserwatystów za broń, którą ci ostatni wykuli w postaci prawa *inicyatywy*, będącego orężem w ręku reakcyi i przeprowadzonego z iście szatańskim machiawelizmem. Wprawdzie doświadczenie jeszcze nie wypróbowało wszystkich skutków nowego prawa, ale możemy je przewidywać z losów *referendum*. Jest ono, jak wiadomo, *dowolne* dla Związku, wymagającego 30,000 podpisów, aby dane prawo przeszło przez powszechne głosowanie, i *obowiązkowe* w dwudziestu kilku kantonach (jak Bazylea, Bern, Zurich, Genewa itd.). Ta nowość, wprowadzona przez skrajny radykalizm, okazała się tylko jednem jeszcze wcieleniem licznych złudzeń demokratycznych, gdyż stała się orężem jedynie w ręku konserwatyzmu i reakcyi. Genewa zawdzięcza *referendum* związkowi kalwinistów i klerykałów, którzy pod nazwą „partyi demokratycznej“ naraz zdobyli zadziwiającą miłość dla „praw ludowych.“ *Referendum* obala zwykle najpostępowsze prawa, często pracę ludzi kompetentnych i specyalistów — pod wpływem kaprysu masy lub jakiegoś niezbadanego powiewu wiatru. Te nieoczekiwane i na niczem nieoparte egzekucye każą nadzwyczaj wątpić o inteligencyi masowej. Ale jeszcze częściej stało się *referendum* środkiem oddania władzy w ręce intrygantów politycznych i nieodpowiedzialnych komitetów — a dotychczas największy wpływ mają właśnie klerykalne. Co masa chłopska może wiedzieć i postanowić o kodeksie karnym, o organizacyi banków lub kolei żelaznych, kiedy specyaliści w żaden sposób pogodzić się nie umieją. A ileż to osób głosuje, nie wiedząc nawet, o co chodzi, nie czytając nigdy ani książki, ani gazety? Dla tego też całe ciało wyborcze daje się bardzo łatwo kierować pierwszemu lepszemu, który ma w niem powagę i szacunek. Po wielu kantonach lud z zaciekłością odmawia zwiększenia lichej płacy nauczycieli; niedawno odmówił ustanowienia skromnych pensyj emerytalnych dla urzędników państwowych w całej Szwajcaryi; w końcu zeszłego roku odrzucił upaństwowienie Kolei Centralnej, kompromitując w ten sposób sprawę pierwszorzędnej wagi w kraju. Wogóle na 19 projektów, oddanych pod *referendum* od r. 1874, czternaście odrzucono. Lud jest względniejszy tylko dla ceł, które są niewątpliwie zgubne dla Szwajcaryi i monopolów alkoholu lub biletów bankowych, dlatego tylko, iż one rozrzucają deszcz złota po kasach kantonalnych. Wogóle jest to oręż, z którego dotychczas korzystała głównie opozycya konserwatywna, a dla nadania mu lepszej roli trzeba byłoby chyba naprzód postanowić, aby wszyscy zmuszeni byli przestudyować kwestyę, nad którą mają głosować. Ale opozycya nie zadawala się już swym uporem, rzucającym do urn masy posłusznej ludności, aby zniszczyć każde postępowe prawo, ona obecnie przechodzi do walki czynnej, zdobywszy sobie prawo „inicyatywy.“ Już konstytucya z r. 1874 dawała je ludowi w niektórych wypadkach. Skorzystał on z tej sposobności, aby znów wprowadzić karę śmierci! Cała krwiożerczość i barbarzyństwo chłopstwa wystąpiły tu dotykalnie na jaw. Oprócz tego dwadzieścia kantonów posiada u siebie „inicyatywę“ prawodawczą w rozmaitym stopniu. Instytucya ta nadaje przywilej określonej miejscowości zaproponowania Radzie Wielkiej kantonu, żeby wypracowała i przyjęła jakieś nowe prawo, a następnie przedstawiła ludowi. Nareszcie w roku przeszłym związek prawicy katolickiej, środka konserwatywnego i nieznacznej części lewicy zażądał, aby 50,000 podpisów wystarczało dla reklamowania nowego artykułu konstytucyi lub odwołania i zmiany starych. Propozycya ta przyjęta została 12 głosami większości w Radzie narodowej i znaczną większością Rady stanów, w której grupy konserwatywne nieograniczenie panują.

Plan obmyślany został i wykonany przez ultramontanów i demokratów z iście szatańską przebiegłością. Katolicy, którzy w swoich kantonach zażarcie odmawiają prawa inicyatywy, naraz stali się zagorzałymi zwolennikami tego prawa dla Związku. Czemu? Bo w swoich kantonach chcą oni pozbawić wszelkiej możności oponowania mniejszości liberalne i radykalne, natomiast w Związku „inicyatywa“ będzie orężem, za pomocą którego będą narzucać swą wolę czynnikom niezgodnym. Właściwie mówiąc, konserwatyści i klerykałowie tak gorąco popierali nowe prawo dlatego, iż chcą za jego pomocą otrzymać *referendum* obowiązkowe dla Związku, a także wybór Rady federalnej przez lud. Już obecnie, jak widzieliśmy, gdy *referendum* jest dowolne, najlepsze prawa wypracowane przez większość radykalną w Radzie narodowej, nie mogą się utrzymać przed krytyką mas, kierowanych ciemnotą i wstecznictwem. Ale obecnie nie zawsze się udaje zebrać potrzebną ilość podpisów i w ten sposób niektóre prawa udało się uwolnić z pod ostracyzmu tłumu. Co będzie wszakże, gdy *referendum* stanie się obowiązkowe i całe prawodawstwo zacznie przechodzić przez rzeszoto głupoty i reakcyi? Z drugiej strony bezpośredni wybór Rady federalnej przez lud zapewni w niej konserwatystom i demokratom także panowanie. Wogóle zaś zastosowanie zupełnie bezpośredniej demokracyi, w całej jej pełni, do Szwajcaryi, zamieni całą maszyneryę państwową (Rady i ministerya) w jakąś nieznaczną

TOPIELEC

przez

Guy de Maupassanta.

I.

Wszyscy w Fécamp znali historyę matki Patynki. Zapewne nie była ona szczęśliwą w pożyciu małżeńskiem, matka Patynka, gdyż chłop jej bił ją za życia, jak biją zboże w stodołach.

Był on właścicielem barki rybackiej i poślubił ją niegdyś dla tego, że była wdzięczną, chociaż ubogą.

Patynek, dobry marynarz, ale grubianin, odwiedzał karczmę ojca Aubana, gdzie wypijał cztery lub pięć kieliszków szpagatówki w dni zwykłe, a gdy mu się szczęściło na morzu, osiem albo dziesięć, a nawet i więcej, wedle wesołości serca, jak mawiał.

Wódkę podawała gościom córka ojca Aubana, brunetka miła oku, wabiąc klientelę swą urodą jedynie, bo nigdy o niej plotek nie mówiono.

Patynek, ilekroć zachodził do szynku, zawsze rad patrzył na nią, prawił jej grzeczności i słówka przystojne, jak chłopiec przyzwoity. Gdy wypił pierwszy kieliszek szpagatówki, już ją znajdował wdzięczniejszą; po drugim, mrugał okiem; po trzecim, mawiał: „Gdybyś panienka chciała, panno Dezyderyo...“—nigdy nie domawiając zdania; po czwartym, próbował przytrzymać ją za spódnicę, aby pocałować, a gdy dochodził aż do dziesiątego, wówczas ojciec Auban nalewał następne.

Stary szynkarz, świadomy fortelów, puścił Dezyderyę między stoły, aby tym sposobem powiększyć zbyt trunków, a Dezyderya, nie darmo będąc córką ojca Aubana, kręciła spódnicą dokoła pijących i żartowała z nimi, mając usta uśmiechnięte, a oko figlarne.

Pod wpływem wypijanych kieliszków szpagatówki, Patynek przyzwyczaił się tak dalece do uroczej Dezyderyi, że myślał o niej nawet na morzu, gdy zarzucał sieci w wodę, w głębie oceanu, podczas nocy wietrznych lub spokojnych, w noce księżycowe albo w noce mroków. Marzył o niej, trzymając za drąg steru, w tyle łodzi, gdy tymczasem jego czterej towarzysze drzemali, zwiesiwszy głowy i założywszy ręce. Widział ją bezustannie uśmiechającą się ku niemu, jak wdzięcznym ruchem nalewała mu wódkę żółtawą, a później gdy odchodziła, mówiąc:

— Czy jesteś pan zadowolony?

I pod wpływem tego ciągłego przechowywania jej w oku i myśli, ogarnęła nim tak daleko żądza zaślubienia jej, że opanować się nie mógł i poprosił o rękę.

Był on zamożnym właścicielem statku, sieci i domu, położonego u stóp wzgórza, nad brzegiem Ostrożnej, podczas gdy ojciec Auban nie posiadał nic. Przyjęty więc został z gotowością i wesele wyprawiono pospiesznie, gdyż obie strony nagliły, aby rzecz dokonano jak najprędzej, chociaż z pobudek odmiennych.

Ale w trzy dni po zawarciu małżeństwa, Patynek nie pojmował wcale, jakim sposobem mógł on przypuszczać, że Dezyderya różniła się od innych kobiet. W istocie, trzeba było być tego głupim, aby się zakłopotać o dziewkę bez grosza, która go otumaniła szpagatówką, bez wątpienia, szpagatówką, którą dla niego zaprawiała jakiemś plugawem zielem.

I klął on przez cały czas odpływu i przypływu morza, przekręcał fajkę w rękach, szturgał swych pomocników i złorzecząc wszystkiemi wyrażeniami utartemi i przeciw wszystkiemu, co tylko znał, wypluwał

komisyę wykonawczą „woli ludowej,“ obecnie zaś maszynerya ta przoduje jeszcze ludowi i prowadzi go daleko szybciej po drodze postępu. Zdaleka może się wydawać, iż *referendum*, *inicyatywa* są to wspaniałe instytucye, które sam postęp w sposób naturalny ze sobą przyniósł. Przy bliższej znajomości stosunków okazuje się, iż jest to ni mniej ni więcej, jak zręcznie przez konserwatystów uknuta intryga, w celu wytrącenia radykalistom z dłoni steru rządów, który ci dzięki różnym warunkom w Radzie narodowej zdobyli. Łatwo zrozumiałą jest właściwość tych ostatnich. Oskarżenia „moderantyzmu“ już ich nie przestraszają, gdyż sądzą, iż zbyt szybka przemiana urządzeń państwowych w duchu demokratycznym cofnie niechybnie społeczeństwo wstecz. Co się tyczy bezpośrednich ich przeciwników, konserwatystów i demokratów, to obiecują im, iż tego dnia, gdy zechcą rozpocząć walkę na gruncie *referendum* przymusowego i wyboru Rady federalnej przez lud, radykaliści odpowiedzą całym szeregiem nie mniej dotkliwych ciosów. Użyją ukutej przeciw nim broni, inicyatywy, nietylko dla całkowitego zastosowania art. 27 konstytucyi z roku 1874, ale także dla zniesienia zakonów i kongregacyi. Zażądają zmiany organizacyi, a może nawet i zupełnego zniesienia Rady stanów, w której konserwatyści mają zapewnioną większość, a nareszcie i zaprowadzenia *referendum* obowiązkowego i prawa inicyatywy we wszystkich kantonach, mianowicie katolickich, gdzie one jeszcze nie istnieją.

Jeżeli się bliżej przyjrzeć tej walce, to można wyprowadzić nadzwyczaj ważny wniosek, a mianowicie, iż fale centralistyczne wdzierają się do Szwajcaryi ze wszech stron i że najzagorzalsi przeciwnicy tego prądu, ultramontanie i demokraci, własnemi rękami niszczą wszelkie tamy, które on jeszcze na drodze napotyka. Bo cóż znaczy *referendum*, co znaczy prawo *inicyatywy*, jeżeli nie wzmożenie potężne Związku kosztem kantonów i gmin? W miarę tego, jak państwo przybiera coraz bardziej charakter demokratyczny, centralizuje się ono jednocześnie bez przerwy. Dwa te prądy znajdują się nie w sprzeczności, ale, przeciwnie, w jaknajściślejszej zgodzie. Zaklęci federaliści, dobijając się prawa inicyatywy, pracują w ten sposób „pour le roi de Prusse.“ Owoce tej pracy po pewnym czasie zbierać będzie radykalizm. Jeżeli on obecnie wrogo się zachowuje względem tej reformy, to dla powodów czysto chwilowych. Może jednak śmiało zacierać ręce, gdyż on nadaje kierunek życiu społecznemu we wszystkich dziedzinach. Zastosowanie artykułu 27 konstytucyi z r. 1874 odda szkołę w ręce państwa, ostateczna unifikacya prawa jest już kwestyą kilku lat tylko i nareszcie centralizacya wojskowa czyni obecnie w Szwajcaryi ostatnie kroki swego rozwoju. Już w r. 1848 kantony wyrzekły się ciężarów i odpowiedzialności związanych z obroną kraju. W r. 1874 Związek otrzymał ostateczne kierownictwo nad armią narodową i dziś Szwajcarya posiada już nie milicyę, ale armię poważną, dobrze wyćwiczoną, o pierwszorzędnem uzbrojeniu. Konstytucya jednak z r. 1874, jako dzieło ugodowe, pozostawiła jeszcze niektóre przywileje — jak np. prawo mianowania niższych oficerów — w rękach kantonów. Wszystko to ma obecnie ostatecznie przejść pod władzę Związku, a konieczność reformy jest tak oczywistą, iż nawet katolickie i demokratyczne dzienniki popierają te centralistyczne dążności. W r. 1872 unityści szli do walki pod hasłem: „jedna szkoła, jedno prawo i jedna armia“ i byli pobici. Obecnie ideał ten prawie już został osiągnięty. Walki wyznaniowe, jeżeli zostaną wznowione, mogą jego zwycięztwo tylko przybliżyć.

Eipon.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niepodobna stłumić w sobie uczucia zgrozy na ten widok lekceważenia życia ludzkiego, jaki przesuwa się po rozmaitych państwach cywilizowanych dzięki reżyserom i aktorom tragedyi dynamitowej. Ludzie ci z tak lekkiem sumieniem podkładają bomby, jak gdyby chodziło o rozbicie pod czyjemiś drzwiami garnka z popiołem w półpościu. Po Anglii i Francyi przyszła teraz kolej na Hiszpanię. Szczęściem odkryto dość wcześnie i udaremniono w Madrycie zamach, którym zamierzano ni mniej ni więcej, tylko wysadzić w powietrze Izbę deputowanych, senat i pałac królewski. Dwóch sprawców: Franciszka Devana i portugalczyka Ferreirę aresztowano w chwili, gdy kładli bomby na schodach, wiodących z gabinetu prezesa do sali posiedzeń. Jak dalece spisek był rozgałęziony, dotąd nie wiadomo, gdyż śledztwo zaledwie rozpoczęto.

Schwytany w Paryżu główny sprawca wybuchów, odsłania się coraz bardziej jako zbrodniarz nizkiego rzędu. Z maską polityczną było mu wygodniej, nawet przyjemniej, zwłaszcza że ona mu przyciągała wspólników, często niewiedzących, komu i do czego służą. Jak brudna jest cała ta sprawa, dość powiedzieć, że nietylko socyaliści niemieccy, ale i francuscy wyparli się wszelkiego z nią związku.

Nieprzyjemne wieści dla państw posiadających kolonie, a zwłaszcza dla Francyi, nadbiegły z Azyi i Afryki. Tonkin znowu się ruszył groźnie, ale nadewszystko wypowiedział otwartą wojnę Dahomej. Władca tego królestwa zgromadził dość znaczne siły i posuwa się wzdłuż Uemy. Francya wysłała dwa pancerniki z silnemi załogami dla odparcia go i obrony swych posiadłości. Obiega wszakże prasę pogłoska, że wyprawa francuska Menarda wyrznięta.

P. Kościelski, członek sejmu niemieckiego i pruskiej Izby panów, ma widocznie w swem przeznaczeniu zapisane, ażeby zyskiwał względy monarchy w przegranych sprawach, dotyczących marynarki. Zeszłego roku jako referent komisyi parlamentarnej bronił energicznie wymagań rządu co do zwiększenia na ten cel wydatków — i otrzymał od cesarza obraz z zaszczytną dedykacyą. Teraz znowu bronił żądanego krzyżowca, którego większość sejmowa odmówiła — i znowu otrzymał obraz od Wilhelma II. Jeżeli tak dalej pójdzie, p. Kościelski może kiedyś dojść do pokaźnej galeryi z darów monarszych za usługi parlamentarne.

Stworzywszy osobną posadę prezesa ministrów pruskich, trzeba było go wyposażyć odpowiednią pensyą i dodatkami. Ogółem suma ta sięga do 70,000 marek, które sejm będzie musiał przyznać.

Bismark, przyjmując liczne deputacye w rocznicę swoich urodzin, wypowiedział do nich bardzo energiczną mówkę, która tym razem nie zwracała się przeciw obecnemu rządowi, ale była apoteozą siły państwa zjednoczonego. Niemcy — według b. kanclerza — nikogo się nie boją, a gdyby ktokolwiek śmiał ich zaczepić, zetrą go na proch.

W Argentynie wybuchnął spisek, którym jednak rząd owładnął natychmiast. Wielu oficerów oraz przywódców partyi radykalnej aresztowano. W stłumieniu ruchu prezydent Pellegrini rozwinął bardzo dużo energii.

Jako znak czasu zanotować należy, że wynaleziono w Paryżu nowy środek wybuchowy, nazwany sebastianą. Kiedyż nareszcie skończy się ta morderca pomysłowość!

---

naraz tę resztę gniewu, która pozostała w jego wnętrzu, na ryby i homary, które odrzucał do kosza nie inaczej, jak z towarzyszeniem obelg i przezwisk niechlujnych.

Wróciwszy do domu, mając pod ręką i pod nosem swoją żonę, córkę ojca Aubana, niebawem zaczął ją traktować, jak ostatnią z ostatnich. A gdy ona słuchała z rezygnacyą, przyzwyczajona do uniesień ojcowskich, jego rozdrażniał ten spokój i pewnego wieczoru uderzył ją. Od tej chwili rozpoczęło się życie okropne.

Przez dziesięć lat nie mówiono nad Ostrożną o niczem innem, tylko o biciu, jakie sprawiał Patynek swej żonie, o jego zwyczaju wymyślania, byle o co, za każdym razem, gdy mówił do niej. Klął on, istotnie, w sposób niezwykły z bogactwem słownika i głosem donośnym, jakiego żaden inny mężczyzna w Fécamp nie posiadał. Skoro tylko łódź jego ukazała się u wejścia portowego przy powrocie z połowu, oczekiwano ciekawie pierwszej salwy, którą wyrzuci ze swego pokładu ku wybrzerzom, spostrzegłszy biały czepek swej połowicy.

Stojąc na tyle, kierował sterem, z okiem zwróconem naprzód śród szaleństw morza i mimo zajęcie się wązkim i trudnym przesmykiem, mimo fal oceanu, które jak góry wciskały się w wązki korytarz portowy, szukał on pośród kobiet, które pod pianą bałwanów oczekiwały rybaków, aby rozpoznać swoją, córkę ojca Aubana, gałganicę.

I gdy ją tylko spostrzegł, zapomniawszy o szumie fal i wiatru, ryknął ku niej potokiem wymysłów z taką siłą gardła, że wszyscy wybuchali śmiechem, chociaż żałowano jej bardzo. Później, gdy łódź przybiła ku brzegom, miał znowu przy wydobywaniu ryb swój sposób grzeczności, jak mawiał, który zgromadzał dokoła przystani wszystkich hultajów i próżniaków z portu. Wszystko to wyrzucał przez usta, bądź jak wystrzały armatnie, gwałtowne i krótkie, bądź jak grzmoty piorunów. Przez pięć minut nieraz miotał takim huraganem słów ordynarnych, iż zdawało się, że posiadał w piersiach cały zapas burz Ojca Wiekuistego.

Potem, gdy opuścił pokład, gdy się znalazł naprzeciw niej; pośród ciekawych i przekupniów, wyłonił jeszcze ze spodu swej łodzi świeży zasób złorzeczeń i grubiaństw i odprowadzał ją w ten sposób do mieszkania, ona szła przodem, on w tyle, ona płakała, on krzyczał.

Później, zostawszy sam na sam, przy drzwiach zamkniętych, bił ją za najmniejszym powodem. Byle co wystarczało mu do podniesienia ręki i skoro zaczął, już się nie zatrzymywał; pluł jej wówczas w twarz. Za każdym policzkiem, za każdym szturchańcem złorzeczył:

— Ah! nędzarko, ah! obdartusie, ah! żebraczko, pięknie się spisałem tego dnia, kiedy przepłukałem sobie gardło tą kurczykiszką tego łotra twego ojca!

Żyła teraz biedna kobieta w trwodze ciągłej, w drżeniu nieustającem duszy i ciała, w struchlałem oczekiwaniu zniewag i ciegów.

Trwało to lat dziesięć. Była tak dalece bojaźliwa, że bladła, mówiąc z kimkolwiek, nie myślała o niczem, tylko o ciosach, które jej groziły i stawała się coraz więcej chudą, żółtą i suchą — jak ryba wędzona.

II.

Pewnej nocy, gdy mąż jej znajdował się na morzu, obudził ją nagle ten wark zwierza, który sprawia wiatr, gdy przybywa, podobnie jak pies spuszczony z łańcucha. Usiadła na łóżku, wzruszona, następnie, nie słysząc nic więcej, wyciągnęła się na nowo, aby usnąć; lecz niebawem w kominie dał się słyszeć ryk, który, wstrząsając domem, przeciągnął się po całem niebie, jak gdyby stado wściekłych zwierząt, za-

BADANIA NAUKOWE.

BEZWIEDNE SPRAWY DUSZY.

(Dokończenie).

Otóż, jeżeli o duszy na podstawie wewnętrznego doświadczenia możemy powiedzieć, że jest czemś *świadomem*, to o materyi możemy tylko tyle powiedzieć, że jest czemś *nieświadomem*. Wszystkie przeto objawy życia, o których bezpośrednio nic wiemy, których nie jesteśmy świadomi, które są bezwiedne, nie są sprawami duchowemi, ale fizyologicznemi. Nie są to bezwiedne sprawy duszy, ale bezwiedne sprawy mózgowe — *unconscious cerebration*, jak je Carpenter nazywa. Do nich w pierwszym rzędzie należą: pamięć i kojarzenie wyobrażeń, które stanowią organiczną podstawę życia umysłowego i nadają mu nieprzerwaną ciągłość i jedność.

Pamięć, zarówno jak i kojarzenie wyobrażeń, nie są to jakieś sfery duszy, w którychby przechowywały się w stanie utajonym wyobrażenia i pojęcia, ustosunkowane z sobą w pewien sposób, wyobrażenia i pojęcia bezwiedne; oznaczają one po prostu fizyczne warunki układu nerwowego, wytworzone drogą doświadczenia tak indywidualnego, jako też rasy, które to warunki przy pomocy dodatkowego, jakim jest pobudzenie zewnętrzne lub wewnętrzne, wywołują w świadomości następstwo wyobrażeń i pojęć w tym porządku, jaki między niemi ustaliło doświadczenie.

Między dowodami, mającymi stwierdzać istnienie nieświadomej sfery duszy, najważniejszą rolę odgrywają fakty, dotyczące czuć i postrzeżeń.

Powszechnem jest przekonanie, że wszystkie czucia zmysłowe, a przed innemi wzrokowe i słuchowe, są całostkami świadomemi, złożonemi z pierwiastków nieświadomych. Wiadomo, że czucie np. barwy czerwonej powstaje wtedy, gdy siatkówka oka zostaje podrażniona przez fale eteru, następujące po sobie z szybkością około 400 bilionów na sekundę. Stąd wniosek, czucie czerwoności składa się z tyluż pierwiastków bezwiednych. Tymczasem składa się z tylu pierwiastków nie czucie czerwoności, ale czynnik zewnętrzny, który jest pośrednią jego przyczyną. Między ruchem eteru, a czuciem danego koloru znajduje się jeszcze jeden czynnik — działanie nerwowego układu, będące bezpośrednią przyczyną owego czucia. Otóż nawet o działaniu układu nie podobna utrzymywać, że polega na ruchu, którego składowe części odpowiadają falom eteru. Zachodzi bowiem wielka różnica między szybkością ruchu eteru, a szybkością ruchu nerwowego. Światło porusza się z szybkością 186,000 mil angielskich na sekundę, kiedy ruch nerwowy dokonywa się z szybkością 120 stóp na sekundę. Stąd uderzenia fal eteru na siatkówkę muszą się zsumowywać wielokrotnie, zanim wywołają ruch nerwowy. Ze swej strony ruch nerwowy, ażeby mógł wywołać jakąś zmianę w świadomości, musi posiadać pewne natężenie i trwałość, co znaczy, że musi także zsumowywać się do pewnego stopnia. Zmiany bowiem świadomości dokonywają się powolniej i trwają dłużej. Fakt ten pośrednio stwierdza znane prawo Webera, podług którego natężenie czucia wzrasta w stosunku arytmetycznym, kiedy natężenie bodźca wzrasta w stosunku geometrycznym.

Dlatego też twierdzenie np., że czucie białości jest złożone, gdyż powstaje w skutek jednoczesnego podrażnienia trzech, czy, jak chcą inni, czterech specyficznych pierwiastków siatkówki, jest z gruntu błędnem. Złożoną jest przyczyna, wywołująca czucie białości, samo zaś czucie jest jednolitym i niepodzielnym aktem duszy, zmianą świadomości, oddziaływającej we właściwy sobie sposób na pewne bodźce nerwowe, których sama natura jest złożona, każdy z nich bowiem stanowi tylko formę ruchu, mającą właściwy sobie kształt i trwałość.

Tłomaczyć stany duszy świadome za pomocą nieświadomych, jest to wyjaśniać rzecz znaną za pomocą nieznanej. Właściwie mówiąc znamy tylko zmiany naszej świadomości — wszystko zaś, co wychodzi po za obręb tych zmian, jest domysłem, wnioskiem prawdopodobnym, hypotezą o tyle konieczną, że bez niej same zmiany świadomości byłyby czemś efemerycznem, przypadkowem, wszelkiej ciągłości pozbawionem — byłyby snem na jawie.

Z większą jeszcze słusznością dają się powyższe uwagi zastosować do tak zwanych sądów i wniosków bezwiednych, które ważną rolę odgrywają w filozofii niemieckiej, dotąd niemogącej pozbyć się, mimo wszelkich usiłowań, swej mglistej metafizyki. Jakoż dzięki tylko jej przykładowi, bezwiedne sądy i wnioski stały się z biegiem czasu dogmatem, do którego dziś wszyscy niemal uciekają się w trudniejszych wypadkach, gdy idzie o wyjaśnienie rzeczy, niedających się wyjaśnić na podstawie znanych dotąd faktów. Przedewszystkiem posługują się niemi, gdy chodzi o wytłomaczenie postrzeżeń i złudzeń zmysłowych. Wdawać się w jakieś szczegóły pod tym względem byłoby zadaleko odchodzić od zamierzonego celu. Wystarczy nadmienić, że jak postrzeżenia, tak i złudzenia zmysłowe powstają za pomocą skojarzeń, nie zaś sądów i wniosków bezwiednych. Złudzenia zmysłowe nie są czemś innem, jak błędnemi postrzeżeniami. Pierwsze postrzeżenia nasze są zawsze złudzeniami zmysłowemi — i dopiero następnie w miarę, jak nabywamy doświadczenia, sprawdzamy je i prostujemy za pomocą sądów i wniosków świadomych, na doświadczeniu opartych. To sprawdzanie i sprostowywanie złudzeń polega nie na porównywaniu błędnych postrzeżeń z rzeczami, które one przedstawiają, gdyż właściwie mówiąc, rzeczy samych przez się nie znamy, ale na porównywaniu postrzeżeń z ustalonemi w naszym umyśle wyobrażeniami o tych orężach i na usunięciu z nich takich skojarzeń, z któremi nie mają nic wspólnego, albo też na dodaniu im pierwiastków uzupełniających.

Teorya o bezwiednych sprawach duszy, oceniana ze stanowiska czysto logicznego, okazuje się jednym z głównych błędów przeciwko zasadom indukcyi. Nie znamy doświadczalnie ani duszy, ani ciała. Znamy tylko objawy życiowe, z pomiędzy których na podstawie wewnętrznego postrzegania odróżniamy świadome od nieświadomych. Pierwsze pojmujemy jako duszę, rozumiejąc przez nią nie byt jakiś, ale oddzielną sferę życia, drugie—jako ciało. Dwa te pojęcia, jakkolwiek będziemy je tłomaczyli— są jedynemi pojęciami, na doświadczeniu opartemi — i znosić właściwe im określenia duszy, jako świadomej, ciała, jako nieświadomego, jest to kierować się z góry powziętemi zapatrywaniami bądź materyalistycznemi, bądź spirytualistycznemi.

Władysław Kozłowski (Lwów).

LITERATURA I SZTUKA.

TANIE WYDAWNICTWA.

Księgarnia, zajmująca się drukiem i sprzedażą książeczek dla ludu, od czasu do czasu przeplata żywioł czysto praktyczny albo też oświecający, drobiazgami, które wchodzą niejako w obręb literatury dla samej swej

---

dyszanych i wyjących, przebiegło przestrzeń.

Wówczas wstała i podążyła ku przystani. Inne kobiety również zbliżały się ze wszystkich stron z latarniami. Mężczyzni nadbiegli i wszyscy razem patrzyli na zapalające się w nocy piany u wierzchołków fal morza.

Burza trwała piętnaście godzin. Jedenastu rybaków nie powróciło, a do tych należał Patynek.

Na wybrzeżu Dieppo znaleziono szczątki „Młodej Amelii,“ jego łodzi rybackiej. Około Saint-Valéry pozbierano ciała jego pomocników, ale nigdzie nie odszukano zwłok jego. Ponieważ łódź zdawała się być przepołowiona na dwoje, Patynka przez długi czas oczekiwała w obawie powrotu męża, bo jeżeli nastąpiło zetknięcie się statków, statek druzgocący mógł go uratować samego i ponieść daleko.

Zwolna jednakże przyzwyczaiła się do myśli, że była wdową, drżąc za każdym razem, ilekroć sąsiadka, żebrak lub handlarz wędrowny wszedł niespodzianie do jej mieszkania.

Otóż, pewnego popołudnia, w cztery lata prawie po zniknięciu jej męża zatrzymała się, przechodząc ulicą Żydowską, przed domem pewnego starego kapitana, zmarłego niedawno, po którym sprzedawano meble. Właśnie w tej chwili licytowano papugę zieloną o głowie niebieskiej, która przypatrywała się całemu zgromadzeniu z wyrazem niezadowolenia i bojaźni.

— Trzy franki! — wołał sprzedający — ptak, który mówi jak adwokat, trzy franki!

Przyjaciółka Patynki szturgnęła ją łokciem.

— Powinniście ją nabyć, jesteście dosyć bogaci — rzekła. I raźniej wam będzie w towarzystwie; papuga ta warta jest więcej, niż trzydzieści franków. Odprzedaj ją będziecie mogli zawsze za dwadzieścia albo dwadzieścia pięć!

— Cztery franki, moje panie, cztery franki! — powtarzał mężczyzna. Śpiewa on nieszpory i mówi kazanie, jak proboszcz. To prawdziwy fenomen... cud!

Patynka dorzuciła pięćdziesiąt centymów i wręczono jej, w małej klatce, ptaka o dziobie zakrzywionym, którego poniosła.

Później zainstalowała go u siebie i gdy otwierała drzwiczki, aby wstawić naczynie z wodą, otrzymała w palec uderzenie dziobem tak silne, że na draśnięty naskórek krew wystąpiła.

— Ah! co za złośnica — wyrzekła.

Jednak podała papudze trochę siemienia konopnego i kukurydzy, poczem pozostawiła ją w spokoju, muskającą swe pióra i rozpatrującą skrycie nowy dom i nową panią.

Dzień zaczynał świtać nazajutrz, gdy Patynka usłyszała w sposób najwyrazistszy głos, głos silny, donośny, potoczysty, głos męża, który wołał:

— Podniesiesz ty się, ścier...!

Przestrach ją ogarnął tak daleco, że twarz wsunęła pod kołdrę, gdyż przedtem, każdego rana, skoro tylko otworzyła oczy, nieboszczyk wrzeszczał jej w ucho te cztery wyrazy, które znała dokładnie.

Drżąca, zwinięta w kłębek, plecy wystawiwszy na cięgi, których już oczekiwała, twarzą ukryta w pościeli, zaczęła szeptać:

— Wielki Boże, oto i on! Wielki Boże, oto i on! Powrócił, Boże Zbawicielu!

Minuty ubiegały; żaden hałas nie mieszał ciszy, zalegającej pokój. Więc trzęsąc się, wychyliła głowę z łóżka, przekonana, że był on tuż, czatując, gotów do bicia.

Nic jednakże nie spostrzegła, nic, krom brzasku słońca, wchodzącego przez szybę i pomyślała:

— Ukrył się, na pewno.

Oczekiwała długo, następnie nieco uspokojona, zaczęła się zastanawiać:

— Czy ja nie śniłam czasem, bo czemuż się on nie ukazuje?

wartości artystycznej. Ostatnimi zwłaszcza dniami ukazało się parę dziełek, już nie na to obliczonych, ażeby zbogacić lud radami i wskazówkami, lub objaśnić go o najważniejszych zjawiskach świata przyrody, lecz, ażeby dać mu przyjemność czytania ciekawych opowiadań, tem samem wyrobić gust do książek i przy okazyi *poddać* tu i owdzie jakąś przystępną i zrozumiałą prawdę moralną. Możnaby wiele rozprawiać na temat czytelnictwa ludowego, tych popędów, które u gminu najpilniejszej pieczy wymagają i tych, które najłatwiej drukowanemu słowu są posłuszne, ale mimo wszelkie w tym względzie mędrkowania i kwestyonaryusze, pozostanie faktem niezbitym, że oświata ludowa da sobie radę ze wszystkiem i spełni wszelkie, najróżnorodniejsze zadania, skoro tylko rozkrzewi samą potrzebę lektury działając na ten potężny i nigdy nie zawodzący zmysł, który nazywa się ciekawością, pragnieniem wzruszeń. Książeczki o narzędziach rolniczych, o ratowaniu ludzi w wypadkach nagłej niemocy, o pożytecznych roślinach lub owadach mogą i muszą się rozchodzić śród ludu, ale choćby dla ułatwienia sobie mozolnej drogi powinny to czynić zawsze w towarzystwie takich, jak leżące przed nami.

Mamy zaś przed sobą cztery wydawnictwa, z których dwa, jednego autora i pokrewnej treści tworzą jakoby jedno. *Królowa śniegu* — przerobiona z Andersena i *Bajdy i baśnie* z różnych źródeł zaczerpnięte, bo i z *Tysiąca i jednej nocy* i Andersena i podań swojskich, są pióra p. Ignacego Matuszewskiego. Jako literat z zawodu, więcej znany ze swych blizkich stosunków z piśmiennictwem nadobnem szerszego pokroju, wychodzi on oczywiście również z założenia, że wyobraźnia prostaczа, podobnie jak i ukształcona, jest organem wiecznie głodnym rzeczy dziwnych, nadzwyczajnych, przerastających pięknem, szczęściem, cudownością to, co nam daje widownia rzeczywista. Nam przynajmniej, w sprawach tych bądź co bądź teoretykom, pogląd ten wydaje się jedynie słusznym. Co innego, gdy kto spyta o wartość wybranych przez autora opowieści. Pod tym bowiem względem, obie książeczki wiele są do siebie niepodobne. „Królowa śniegu“ stoi mianowicie o wiele niżej od owej wiązanki baśni. Przeznaczona „dla młodzieży“ nie sądzimy, ażeby czy to w rękach dziecięcych czy kmiecych przyniosła całą miarę oczekiwanego pożytku. Nikt jej nie będzie pochłaniać — to więcej niż pewno — a do tego przecież dążyć by należało. Po pierwsze bowiem pierwiastek czarodziejski jest tam traktowany już nazbyt bez ceremonii, sucho, bez przekonania, „aby zbyć“ aby zszyć jeden epizod niemożliwy z drugim nieprawdopodobnym. Powtóre, sama myśl przewodnia jest mglista nawet dla dojrzałego czytelnika. Owe drobinki lodu w sercu chłopczyka, który nagle staje się niedobrym, owo poświęcenie dziewczynki, która o nim tylko myśli, nie tłomaczą się dosyć jasno. Jakkolwiek kluczem do zlodowaciałej natury malca jest miłość i wszystko dokoła o niej tylko mówi, nawet sople lodu, to jednak baśń sama nie ma w sobie należytego ciepła, co tłomaczymy sobie tem, iż p. Matuszewski zmuszony czynić liczne skrócenia, zastosował je i do momentów uczuciowych, kiedy tymczasem one wymagają dotknięcia delikatnego, przeróbki nawskroś lirycznej, samoistnie odczutej. Opowieść robi też wrażenie pięknej ale wątłej roślinki, którą przesadzono do doniczki szczęśliwie, ale której nadmięto i przybrukano kwiat.

Za to doskonale są wybrane i wypowiedziane „Bajdy i baśnie.“ Niektóre z nich — zwłaszcza „O leniwym parobku Legacie,“ zalecają się prostotą, szczerze swojskim kolorytem i dosadnością. „Historya o ślepym Baba-Abdali“ wymownie a barwnie i wyraziście ilustruje chciwość i jej skutki. „Nowe suknie hrabiowskie“ zawierają myśl głębszą, kto wie, czy nie za słabo objaśnioną, w każdym razie widać w niej genialną pomysłowość i czar Andersena. „Anioł“ jest prawdziwie rzewny i poetyczny i językiem ludu do serca ludu przemawia. „Historya o ściętym lekarzu“ zręcznie zespala jaskrawość efektów z jasnym morałem. Wogóle bukiecik ten ma przed sobą powodzenie i winien zachęcić do dalszych; czyta się lekko, jest zwięzły, urozmaicony.

Gdybyśmy swego czasu na tych samych łamach nie streszczali *Romanowej*, mielibyśmy zasadę rozwieść się teraz szeroko nad arcydziełem Orzeszkowej. Niewielu trzeba było zmian, ażeby je do poziomu niższego dopasować, tak jest przez swoją logikę i konsekwencyę naturalne w swym rozwoju; najlepszy to dowód, jak autorka starannie niziny podpatruje, jak umie je czuć sercem samego ludu, skoro dla wzroku ludowego nie potrzeba tych obrazów zmieniać, mimo że są malowane z wyższych pobudek artystycznych. Księgarnia tanich wydawnictw przysposobiła utwór ten do swego programu samą siłą konieczności: „Romanowa“ jakby o to wołała. Trudno też, w rzeczy samej, o kunszt szlachetniejszy nad takie momenty, jak owe żałosne wspomnienia żebraczki z kruchty kościelnej, którą koleżanki pięściami w boki, a kijmi w pokaleczone nogi uderzały. „Hej! hej! jakże daleko za nią pozostała ta droga pocztowa, po której w dnie zimowe jeździła, gdy słońce świeciło, pole było białe, niebo błękitne, dzwonek dzwonił, konie po śniegu biegły czach-czach, czach-czach, a mąż, jak młody dąb na saniach stojący, zwracał się ku niej z troskliwem pytaniem: Ewka! czy ci nie zimno?“

Albo ten niezrównany wykrzyk dwunastoletniego ucznia, który wstawia się za synem Romanowej: „Ej, tatku! czy to tatko Pan Bóg, ażeby mógł wiedzieć, czy kto poprawi się, czy nie poprawi!“ To są klejnoty, na które każda dusza ludzka musi się radować.

„*Opowiadanie Kuby Cieluchowskiego* o jego emigracyi do Brazylii,“ które napisał p. Adolf Dygasiński, ma już cel czysto praktyczny i gwoli swej tendencyi jedynie ujrzało światło dzienne. Sposób działania na umysły kmiece, właściwy autorowi, jest pospolicie znany, dodać więc godzi się tylko, że w obecnym wypadku nieposzlakowanej prawdzie języka i psychologii typów chłopskich wtóruje i przychodzi ze skuteczną niewątpliwie pomocą wysoce rozumna charakterystyka samego opowiadacza, który nawet z punktu widzenia literatury niezawisłej jest postacią wyborną, znamionując swemi słowami i czynami naturę pod względem ceh dodatnich utrzymaną w mierze, nie wyidealizowaną. Ten Cieluchowski, to gospodarz ostrożny, przebiegły, uczciwy i skrzętny, ale kiedy nędza za gardło chwyciła jego i dzieci, kraść musiał i z bólem ale otwarcie się do tego przyznaje. Smutna nad wyraz opowieść jego niezwykle pociąga masą zdarzeń i zajść, stanowi w swym rodzaju epopeę chłopską, którą śmiało możnaby rozciągnąć na dwieście stronic i nie by ze swej ponętności dla wyobraźni nie straciła. A przytem czuć wszędzie szczerość i przejęcie się bohatera, który nie z palca wysysa swoją historyę, lecz ją na własnej skórze do dziś dnia jeszcze czuje, własnem szczęściem przypłacił, życiem żony i dziecka okupił. Wreszcie ozdobiona jest opowieść mnóstwem pouczających opisów morza, okrętu, obcych ludzi, zwierząt, roślin i zwyczajów. Słowem, książka to w treść nader bogata.

Rzecz prosta, iż rzetelny realizm charakterystyki, istotne wcielenie się w cudzy sposób myślenia i patrzenia, choćby było podyktowane względami natury czysto bieżącej, ma i swą cenę literacką. To też w dziełku p. Dygasińskiego widzimy coś więcej nad straszydło na emigracyę. To zarazem i poważne studyum w rodzaju

---

Przymknęła oczy, cokolwiek udobruchana, gdy zagrzmiał w pobliżu głos wściekły, głos piorunujący topielca, który złorzeczył:

— Kroć sto tysięcy milionów fur beczek... podniesiesz ty się ść...!

Jednym susem wyskoczyła z łóżka, dźwignięta posłuszeństwem, ślepem posłuszeństwem kobiety smaganej, która pamięta dotąd, po czterech latach, które przypomni sobie zawsze i która zawsze będzie posłuszna temu głosowi i rzekła:

— Oto jestem, Patynku, czego chcesz?

Ale Patynek nie odpowiadał.

Wówczas, tracąc głowę, patrzyła naokoło siebie, później szukała wszędzie, w szafach, w kominie, pod łóżkiem i nie znajdując nikogo, osunęła się na krzesło, szalona niepokojem, przekonana, że duch Patynka był tutaj, tuż przy niej, przybył, aby się znęcać nad nią.

Nagle przypomniała sobie o strychu, do którego dostawano się za pomocą drabiny, z zewnątrz domu. Najniezawodniej ukrył się on tam, aby ją zaskoczył niespodzianie. Zapewne, zatrzymany przez dzikich na jakiemś wybrzeżu, nie mógł się wymknąć prędzej i powrócił teraz, złośliwszy niż kiedykolwiek. Na chwilę nawet nie wątpiła, poznała go po głosie.

I podnosząc głowę ku pułapowi, zapytała:

— Patynek, czy jesteś na górze?

Patynek nic odpowiedział.

Więc wyszła i ze strachem okropnym, który wstrząsał jej sercem, wzniosła się po schodach drabiny, odemknęła okienko szczytowe, spojrzała, nie zobaczyła nic, weszła, szukała i nie znalazła nikogo.

Usiadłszy na wiązce słomy, zaczęła płakać, ale w chwili, gdy zanosiła się od łez, przejęta straszliwą trwogą, usłyszała w swym pokoju Patynka, który opowiadał różne rzeczy. Zdawał się on być mniej zagniewany, spokojniejszy i mówił:

— Podły czas! Co za wichura! Podły czas! Nie jadłem śniadania, do kroćset!

Ona zawołała przez sufit:

— Oto ja, Patynku; zaraz przygotuję ci zupę. Nie gniewaj się, idę.

I zeszła z pośpiechem.

Nikt nie znajdował się w jej pokoju.

Uczuła się blizką omdlenia, jak gdyby pod dotknięciem śmierci i już miała uciec, aby wezwać pomocy sąsiadów, gdy naraz głos, tuż nad jej uchem, zawołał:

— Nie jadłem śniadania, do kroćset!

I papuga w swej klatce spoglądała na nią okiem okrągłem, skrytem i złośliwem.

Ona również patrzyła na nią, szalona, szepcząc:

— Ah! to ty!

Papuga, poruszając głową, zaczęła:

— Poczekaj, poczekaj, poczekaj, nauczę ja cię próżnowania!

Co przyszło jej do głowy? Uczuła, zrozumiała, że to on, umarły, upiór powracający, który się ukrył w piórach tego ptaka, aby ją dręczyć na nowo, pojęła, że będzie ją lżył jak niegdyś, codziennie, kąsał i wykrzykiwał zniewagi, aby zgromadzać sąsiadów i pobudzać ich do śmiechu. Więc porwała się, otworzyła klatkę, pochwyciła papugę, która broniąc się, kaleczyła jej ciało dziobem i pazurami. Ale ona trzymała ją z całej siły, obiemi rękami i, rzucając się na ziemię, przygniotła ją sobą z wściekłością opętanej, zmiażdżyła ją, zrobiła z niej łachman mięsny, drobiazg miękki, zielony, który zwieszał się; później, obwinąwszy ją ścierką, niby całunem, wyszła w koszuli, boso, przebiegła nadbrzeże, o które morze uderzało falami urywanemi i potrząsając płatkiem, upuściła w wodę ten drobiazg śmiertelny, podobny do kupki trawy i następnie wróciła do siebie. Padłszy na kolana przed opróżnioną klatką, wstrząśnięta tem, co zrobiła, zaczęła prosić dobrego Boga o przebaczenie, łkając, jak gdyby popełniła okropną zbrodnię.

Tłom. *Miecz. N. N—ski.*

Beldonka i tym podobnych. Posłuchajmy np., jak Kuba obserwuje przyrodę.

„Naszego wróbla, trznadla, skowronka czy słowika, nie uświadczy w Bryzolii, ale łatwo gdziebądź napotkać ptaszyny maleńkie, jak motyle, co je tam zowią kolibrami. Fruwają one tak prędziutko, że ci się jeno w oczach miga, a kiej ptaszek stanie w powietrzu, to się mieni, świeci, połyskuje, jakby najcudniejsze malowanie.“

Albo opis burzy: „Aż naraz, prawie nad samym okrętem, otworzyło się niebo, ogromna jasność bez mała nie oślepiła i w tej samej chwili — „tarararararach!..“ Trzasnęło tak strasznie, że każdy na pokładzie przycupnął ze strachu i obiema rękoma zakrył oczy. Piorun wyrżnął w skałę na morzu, cośmy niedaleko od niej płynęli. Żywy ogień z nieba się posypał i wnetećzki potem lunął deszcz, jak z cebra. A no, razem z tą deszczową chmurą przyleciał wicher. Najświętsza Panno, jak też zadął, tak wszystko z pokładu w nogi — zmykało po różnych dziurach! Chłopom z głów czapki, kapelusze, babom chustki pozrywało, poniosło het na morze. Jeszczem też nigdy w życiu nie widział takowej wichury, a toć to sądny dzień! Wyło, gwizdało, skomlało, huczało; pono okrutna taka płanota morska leciała i chmury się poobrywały.“

Cieluchowski zdobywa się i na dramat i na liryzm i na humor, zawsze jednako żywy i autentyczny. Nie podzielamy zachwytów pewnych kół dla wszystkiego, co nam daje niestałe, sangwiniczne pióro p. Dygasińskiego, ale ostatni jego utwór uważamy za dojrzały, rozważny, wolny od wpływów obstalunku fejletonowego i zaufania do reklam przyjacielskich.

Wszystkie wzmiankowane książeczki są ozdobione rysunkami, których nie powstydziłyby się i wydawnictwa drogie. Zwłaszcza celują obrazkami umiejętnego, wytrawnego ołówka „Romanowa“ i „Opowiadanie Kuby o emigracyi.“ Okoliczność ta na gruncie naszym, gdzie zdawien dawna „ilustracya“ stała się czemś jednoznacznem z „tandetą“ — jest prawdziwym fenomenem.

Cez. Jel.

T E A T R.

Maupassant i I. Normand, *Musotte* sztuka w trzech aktach. — Grange i Bernard, *Klucz od zatrzasku*, farsa w 1-ym akcie.

Kobieta opuszczona przez kochanka, ścielącego po długich brojeniach gniazdko legalne, niewygodny fant, pociągający za sobą alimenty lub inne nie bardzo przyjemne następstwa — to jest najpospolitszy wątek do powieści i sztuk scenicznych, ograny przez rozmaitych autorów, wielkich i małych, jak noc księżycowa lub wschód słońca — przez poetów. Chcąc stworzyć na tem tle coś świeżego, pociągającego niepospolitością, trzeba mieć duży talent. Dzięki właśnie temu warunkowi, sztuka powyższa (przerobiona z noweli Maupassant'a) budzi zajęcie widza. Nie posiada ona szkiełek kalejdoskopowych, podtrzymujących intrygę i uwagę, nie obfituje w wypadki i powikłania nadzwyczajne i w to wszystko, co się nazywa akcyą ożywioną, ale rozsnuta jest na prawdzie życiowej. To przeważa wszelkie inne warunki szablonowe, konieczne dla powodzenia rzeczy.

Musotte jest zwyczajną modelką sławnego malarza, Jana Martinela, najpospolitszą kobietą bruku wielkomiejskiego, nie wykształconą, ale dobrą i ładną. To wystarcza na pewien czas dla artysty młodego. Przywiązuje się do niej, zna nietylko charakter i usposobienie, ale wszystkie jej mięśnie, wszystkie linie, każdy załom jej ciała, którego przez trzy lata stał się niepodzielnym posiadaczem. Związek taki musi jednak mieć koniec w życiu filistra, który postanowił przerodzić się w porządnego mieszczanina, jak przystało na człowieka, pragnącego zjednać szacunek w swem otoczeniu. Jan żeni się z córką poczciwej, przesiąkniętej cnotami domowemi rodziny. Ale oto po ceremoniach ślubnych i weselnych, w chwili gdy spokojnie marzy o rozkoszach małżeństwa, spada nań pocisk niespodziany. Stryj przynosi mu list przez pomyłkę przeczytany, od przyjaciela doktora, z uwiadomieniem, iż dawna kochanka przyniosła mu w upominku syna, ochrzczonego imieniem ojca, a sama chce się z nim pożegnać na łożu śmiertelnem, zanim on dotknie małżeńskiego. „Spełnia swój obowiązek,“ idzie późnym wieczorem pożegnać umierającą, napełniając trwogą i wzburzeniem prawą towarzyszkę życia i całą rodzinę. Musotta, umierając błaga kochanka o zaopiekowanie się dzieckiem i nieodmawianie mu praw ojcowstwa. On przyrzeka nieszczęśliwej wszystko, o co go tylko prosi, nawet schronienie syna pobocznego pod skrzydła prawowitej towarzyszki życia. Zdawałoby się, iż tu musi nastąpić zerwanie węzłów świeżo związanych, rozpacz pokrzywdzonej żony, złamanie jej losu, sceny gwałtowne, burzliwe. Tymczasem wszystko się kończy bez efektów, jęków i załamywania rąk. Wprawdzie ojciec panny młodej i krewna kumoszka robią awantury, pragną rozwodu; ale kobieta, pokrzywdzona grzechami przeszłości swego męża, prędko mu przebacza i staje się matką przybraną. Szczytem nastroju dramatycznego w sztuce jest akt drugi, wypełniony konaniem Musotty. Pożegnanie młodej kobiety z kochankiem i życiem, do którego się rwie całą duszą, jej gorączkowe majaczenie o przyszłości szczęśliwej, chwilami odzyskiwana wysiłkiem woli przytomność, aby uświadomić obecność tego, który jej śmierć przyspieszył, uczucia samicy, przemawiającej do niemowlęcia w kolebce, wszystko to silnie wzrusza widza, nie efektami, ale prawdą głęboką. Przyznać trzeba, iż ta chwila grania na nerwach i wrażliwości ludzkiej, mogłaby wiele stracić na fałszywem choć trochę odtworzeniu aktorskiem. Stało się przeciwnie: nastrój dramatyczny z odcieniem liryzmu zyskał nawet na sile w bardzo umiejętnej i rozumnej grze panny Marcellówny. Tem większe uznanie należy się artystce, że rola, wymagająca subtelnych cieniowań chwili psychicznej, połączona jest z trudnościami technicznemi: leżeniem w łóżku przez cały akt. Panna Barszczewska w roli Jadwigi de Petitpré, żony malarza, wogóle grała dobrze, chociaż chwilami z odcieniem niezupełnie naturalnym. Pan Nowicki, jako Jan Martinel, pojął trafnie cnoty i obowiązki drobnomieszczańskie. Z humorem i życiem wykonały role: p. Borkowska typowej akuszerki, a p. Leszczyńska — mamki. Odtworzenie postaci, trzymających za krańce wątku, chociaż przypadło artystom wybitnym, nie przedstawia przedmiotu do szczególnych uwag, a do zarzutów nie daje powodu.

Dla orzeźwienia widza humorem po wzruszeniach, koniec widowiska wypełnia jednoaktowa farsa Grange'a i Bernard'a: „Klucz od zatrzasku.“ Ten klucz jest osią, około której się obraca treść błahostki, stworzonej dla śmiechu. Lowelas wpada w wielkie zakłopotanie z cudzą żoną, której nie może na czas do domu odstawić, gdyż jej ginie klucz od zatrzasku. Ażeby odwlec chwilę krytyczną, łapie po drodze męża zdradzonego i gwałtem prowadzi go na bal do swej siostry, gdzie wtajemniczywszy go w całą przygodę z pominięciem imienia jej bohaterki, wmawia mu, że tu jest ów małżonek oszukiwany, którego zatrzymanie na zabawie, dopóki się klucz nie znajdzie, będzie usługą przyjacielską. Stąd sceny komiczne i nieporozumienia. Dobrymi wykonawcami całości i szczegółów farsy byli pp. Frenkiel, Orso-Wieńczycka, Wojdałowicz, Prażmowski, Trapszo i stawiająca udatnie pierwsze kroki na scenie panna Micińska.

Zenon Pietkiewicz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Ogólne zebranie członków katolickiego Towarzystwa dobroczynności.—Komisya dla obmyślania środków.—Przytułek. — Odczyt p. Ptaszyckiego. — Koncert p. Narbutt. — O koncercie p. Janowskiej.

Doroczne zgromadzenie członków katolickiego Towarzystwa dobroczynności w tym roku było nader znamienne. Ze sprawozdania zarządu za r. 1891 okazało się, że Towarzystwo w wydatkach rozszerzyło swą działalność, a ponieważ przychód nie wzrósł, więc użyto zaoszczędzonych sum z lat ubiegłych.

I tak: dochodu otrzymano 24,009 rs., wydano zaś na cele dobroczynne 25,341 rs. i do kapitału zapasowego włożono 3,293 rs., suma więc rozchodu stanowiła 28,634 rs., czyli o 4,625 rs. więcej, niż dochodu i o 4,794 rs. więcej, niż w r. 1890.

W obecnym 1892 r. nie ma sum zaoszczędzonych, dochód też nie wzrasta, więc na ogólnem zgromadzeniu większością głosów zdecydowano zaczerpnąć z kapitału zapasowego trzy tysiące rubli. Jest to pierwszy wyłom w gmachu dotąd trwałym i wspaniałym. Prezes zgromadzenia, p. Gartkiewicz, stawiając kwestyę do głosowania, rzekł wyraźnie:

— Jeżeli ograniczymy wydatki, pozbawimy wielu pomocy, a może i ratunku; naruszając zaś kapitał zapasowy, podkopujemy trwałość samego Towarzystwa.

Powstało pytanie, czy nie można zapełnić luki nadzwyczajnym jakimś sposobem, bo wszelkie zwyczajne są wyczerpane. Jeden z członków zgromadzenia wniósł projekt podwojenia w tym roku zwykłej opłaty członków.

— Jeżeli trzysta osób wniesie po 10 rs., otrzymamy brakującą sumę.

Wniosek ten upadł, lękano się, że może rozproszyć większość członków.

Ks. Czeczot wniósł taką poprawkę:

— Kto nie może lub nie chce zapłacić 10 rubli, niech dostarczy Towarzystwu nowego członka, a wszystko stanie się dobrze.

Ogólne zgromadzenie odrzuciło wszelkie nowe zobowiązania. Natenczas p. Piltz (jest wszędzie) ogłosił wniosek, ażeby wyznaczyć komisyę, któraby wespół z zarządem obmyśliła jakieś nowe źródło dochodu. Pozostawało pytanie, kto ma wybierać tę komisyę: zarząd, czy też ogólne zgromadzenie? Jedni znajdowali, że jeżeli komisya będzie wybrana niezależnie od zarządu, natenczas w łonie Towarzystwa okażą się dwie równoprawne grupy rządzące, które niezawiśle od siebie będą obmyślać, oraz pierwsze będzie poniekąd wyrazem niezadowolenia z działalności drugiego. Inni natomiast mniemali, że nowe żywioły wniosą nowy ruch.

Że się ruch wzmocni, o tem nikt nie wątpi, ale powinniśmy pamiętać, że nie wszelkie ruchy tworzą — niektóre wiodą do ruiny, a przynajmniej gmatwaniny. O tem na razie nikt nie myślał, to też większością głosów postanowiono komisyę złożoną z pięciu osób wybrać na ogólnem zgromadzeniu. Nim jednak przystąpiono do głosowania, wielu wrażliwych ochłonęło z chwilowego zapału i — o dziwo! — zamiast siedemdziesięciu kilku kartek, podano tylko 26. Na kartkach, jak zwykle w takich nagłych przedsięwzięciach, nazwiska nie często się powtarzały, mielibyśmy tedy komisyę, której członkowie

otrzymali po dziesięć, osiem, a nawet po pięć głosów. Prezes więc zgromadzenia uznał, że wybory, w których większość członków nie chce uczestniczyć, należy uważać za niedoszłe.

Z liczby uczestników zarządu p. Czopowski oświadczył, że skoro się obiera komisya, ogólne zebranie powinno dać wskazówki, w jakich stosunkach do zarządu mają się znajdować nowi „obmyśliciele.“ P. Jecher zaś zauważył, że najlepiej, ażeby całe Towarzystwo stanowiło komisyę. Jak rzeki dążą do morza, tak wszyscy członkowie dążyliby do jednego celu — nieść pomoc bliźnim. Rzecz nie w nazwie, lecz w dobrej woli.

P. Sędziuk bez nazwy „obmyśliciela“ wniósł do kasy Towarzystwa kilkaset rubli i znaczny zasób odzieży. Bez wątpienia szanowny ten obywatel w swych zabiegach nie dbał o rozgłos, jednak światło rozproszyło ciemnię i ujrzeliśmy oblicze — iście ludzkie.

Dotychczas nie zaznaczyłem w swych listach o jednem z najchwalebniejszych dzieł zarządu Towarzystwa dobroczynności, mianowicie o jego przytułku dla sierot, otwartym w końcu 1880 r. Obecnie mieści się w nim dwudziestu dziewięciu biednych chłopców. Starsi z nich uczęszczają do szkoły istniejącej przy kościele św. Stanisława, a w domu uczą się rzemiosł — tymczasem szewckiego i stolarskiego.

W r. 1891 utrzymanie szkoły wynosiło 3,803 rs.

Przytułek ten ma szczęście do ludzi. Nie mówimy o tem, że zarząd dobroczynności spogląda na swego Beniaminka z iście ojcowską troskliwością. Przełożona, p. Piotrowska, zrzekła się za swą pracę wszelkiej opłaty. Jeden z dozorców jest zarazem nauczycielem szewctwa; ten zgłosił się do przytułku i oświadczył, że gotów jest za samo utrzymanie służyć Towarzystwu, byle pozostawać z biedną dziatwą. A my, członkowie Towarzystwa, coraz tłumniej opuszczamy swe stanowisko. Co rok więcej ucieka, niż przybywa. Nie obchodzą nas zachcianki zarządu — zbierać po zakątkach głodne pisklęta, karmić, odziewać, uczyć... Gdyby nas przynajmniej za nasze kilka rubli do roku nazywano zbawicielami ludzkości, gdyby wybierano do komisyj— jużci takich, coby nie wymagały ani zbytecznej pracy, ani pieniędzy...

Powiadają, że od wielkości do śmieszności krok tylko, przypuszczamy, że od miłosierdzia do blagi jeszcze bliżej.

W tejże sali, gdzie toczyły się obrady Towarzystwa dobroczynności, w tydzień potem, tj. w przeszłą sobotę, p. Ptaszycki na rzecz biednej dziatwy miał odczyt o pierwszych wzorach piśmiennictwa słowiańskiego, odczyt — wcale treściwy i nader pouczający. Prelegent otrzymał liczne oklaski, a biedacy trochę grosza.

Utalentowana artystka, p. Narbutt, dawała koncert i wyszła zwycięzko. Niestety, rzeczywistych miłośników muzyki niewielu mamy; na poważny koncert naszej rodaczki niezbyt tłumnie stawiliśmy się.

Zaznaczam jako fakt nader znamienny tę okoliczność, że współtowarzysze i towarzyszki z konserwatoryum złożyli artystce hołd i kwiaty. Z oblicza muzyków mogliśmy wyczytać, że dumni są z jej talentu.

Wkrótce odbędzie się koncert p. Eugenii Janowskiej. Nie wątpimy, że ziomkowie nie zadowolą się zachwytami idealnymi i przełożą choć tym razem piękno nad gimnastykę w „Lutni.“

W niedzielę w kościele św. Katarzyny odbyła się ceremonia poświęcenia ks. Simona na biskupa i ks. Kozłowskiego na metropolitę kościołów katolickich w Cesarstwie.

N. B.

LIBERUM VETO.

Przepowiednie Falba. — Dnie krytyczne. — Prawdopodobieństwo wróżby. — Szczęście w omyłkach. — Dziesięciolecie *Wszechświata*. — Jego ciernie i zasługa. — Zwrot ku ostrożności w nauce i brak śmiałych hypotez. — Race puszczane przed wyborami do Towarzystwa kred. ziems. — Bezskuteczność utyskiwań ogólnikowych i potrzeba walki otwartej. — Scena, która się nigdy nie rozegrała. — Ostateczny rachunek p. Chorążego co do nadprodukcyi inteligencyi.

Rudolf Falb korzysta z przywileju wszystkich wróżów: jeżeli sprawdzi się jego przepowiednia astronomiczno-meteorologiczna, to jest uroczyście rozgłaszana po całym świecie, jeżeli nie sprawdzi się, ani sam prorok, ani jego czciciele nie podnoszą omyłki i szybko topią ją w milczeniu. Tak się stało w miesiącu ubiegłym. W połowie marca przypadał „dzień krytyczny“ drugorzędny — i rzeczywiście tańczyły po ziemi gwałtowne wichry i wybuchały gazy w kopalniach; ale na 28 marca zapowiedziany był dzień krytyczny pierwszego rzędu, czyli taki, w którym musi gdzieś nastąpić jakiś kataklizm — i nie nastąpiło nic. Były podmuchy zimne lub ciepłe, takie wszakże figle natury zwykły się zdarzać każdej wiosny. Wreszcie 4 kwietnia znowu wypadał dzień krytyczny — istotnie 3 kwietnia hulał cyklon w okolicach Chicago. Z trzech tedy ostatnich wróżb najgłówniejsza chybiła zupełnie. Byłby to niezły rezultat dla statystyki, ale nie dla matematyki, na której Falb opiera swoją teoryę. Nie myślę bynajmniej pomawiać go o blagę, gdyż bądź co bądź jest to badacz naukowy i zapewne człowiek dobrej wiary; nie ulega jednak wątpliwości, że on „fakty ciągnie za włosy.“ Na tak olbrzymiej przestrzeni, jaką jest ziemia, codziennie zdarzyć się może jakiś niezwykły objaw natury — chłód, ciepło, burza, wybuch gazów itp.; sądzę więc, że gdyby ktoś oznaczył całkiem fantazyjnie „dni krytyczne,“ zawsze lub bardzo często znalazłby na globie ziemskim kilka faktów, potwierdzających jego przypuszczenie. Więc teoryi Falba nie należy brać ani zbyt ściśle, ani zbyt... tragicznie. Jest to prawdziwem szczęściem dla ludzkości, że ten szanowny mąż się myli; gdyby bowiem stale zgadywał, wkrótce zostalibyśmy doszczętnie wytępieni przez „dni krytyczne.“ W ciągu roku jest ich kilkadziesiąt a kilkanaście tak groźnych, że gdyby im natura chciała dogodzić, musiałaby wypuścić na ziemię najwścieklejsze uragany, podrzeć ją wulkanami, wyprowadzić rzeki z łożysk i zalać niemi siedziby ludzkie, słowem urządzać wszystkie te kataklizmy, o których mówią legendy. Czyż byśmy tę chłostę i zniszczenie wytrzymali? I bez nich duchy, zbierające codzień rosę łez człowieczych i odnoszące ją Jowiszowi, powtarzają mu: wielki rządco wszechświata, objaśnij nam raz, co te istoty przywiązuje do życia? A Jowisz zakłopotany, nie wie, co rzec i odpowiada: jest to niedocieczona tajemnica. Wyobraźmy sobie, o ile ta tajemnica stałaby się jeszcze bardziej zagadkową, gdyby ziemią zaczęły chłostać plagi Falbowskie! Złośliwi opowiadają, że dopóki był mnichem, nie znał dni krytycznych; dopiero gdy się ożenił, umie obliczać naprzód, którego dnia będzie burza lub wybuch, dodając przytem, że dat nie oznacza dokładnie i że katastrofa może przypaść parę dni wcześniej lub później. Iluż to mężów jest na świecie, którzy umieją równie dobrze przepowiadać przewroty... meteorologiczne!

Wszechświat uczcił dziesięciolecie swego istnienia taką elegią, jak gdyby przez ten czas trapiły go nieprzerwanie „dni krytyczne“ Falba. Na drodze swojej spotykał ciernie — nie materyalne, ale duchowe. Czemu nie określił — jak przystało na przyrodnika — ani ich rodzaju, ani gatunku? Możebyśmy z nim współczuli, a nieobjaśnieni należycie, gotowi jesteśmy przypuścić, że on pomimo swej wiedzy botanicznej nie zna cierni. Bo i jakież tkwić mogą w duszy pisma specyalnego, poświęconego naukom przyrodniczym? Doprawdy nie odgadujemy ich a przynajmniej nie domyślamy się takich, z których warto byłoby uwić koronę i wystąpić w niej publicznie z miną męczeńską. Oceniając swoją dziesięcioletnią działalność skromnie, *Wszechświat* jednak przyznaje sobie jedną, dość ważną zasługę, mianowicie pokonanie przesądu jakoby przyrodnik musiał być koniecznie burzycielem społecznym. Wyznaję, że pomimo starannej obserwacyi naszego społeczeństwa od lat wielu w oświeconych jego warstwach tego przesądu nie spotkałem. Przypisywano naturalnie pewnym hypotezom przyrodniczym wpływy społeczne, ale to nie znaczy wcale, ażeby każdego zoologa, botanika, fizyologa uważano za radykała w socyologii. *Wszechświat* tedy właściwie z niczego nas nie wyleczył, tylko co najwyżej zamiast dawnego zapału do rozległych uogólnień i wiary w śmiałe przypuszczenia, wprowadził lękliwość, ostrożność i chłodny ton akademicki. Ale i to nie jest jego samodzielnem zwycięztwem, lecz odbiciem się zwrotu, dokonanego w całej dziedzinie naukowej. Dziś dziedzina ta nie brzmi głosami wielkich teoryj, lecz szemrze pracą mrówczą, oględną i mozolną, więc i nasz organ przyrodoznawstwa przejęty jest duchem odpowiednim. Przed laty 20, kiedy w Europie wrzała walka zasad i pomysłów, kiedy najzuchwalsze hypotezy wstrząsały umysłami, nie ustałby *Wszechświat* przeciw potężnemu prądowi, chociażby najbardziej wytężył swe akademickie siły. Współzawodnicząc z wychodzącą wówczas *Przyrodą i przemysłem* albo musiałby wpaść w jej takt, albo zrzec się czytelników. Obecnie inny jest nastrój, w gniazdach orłów naukowych usadowiły się pszczoły, ale tej zmiany nie sprowadził *Wszechświat*. Czy ona da lepsze owoce wiedzy i większe korzyści ogółowi — tej kwestyi rozbierać tu nie będę.

Ziemianom naszym olśniewają wzrok blaski, rzucone lusterkami rozmaitych projektów konwersyi — czyli mówiąc prościej — zniżenia stopy procentu, opłacanego za pożyczki w Towarzystwie kredytowem. Rad i gustów nie brak: w *Gazecie losowań* głosują za 4½ od sta, w *Gazecie rolniczej* za 2—3. Kto inny w dzisiejszym numerze oświetla to ostatnie życzenie ze strony ekonomicznej; nie będę więc w ten gwar rzucał własnego zdania, chociaż życie dało mi kilka praktycznych lekcyi kredytu i chociaż sądzę, że na rynku, gdzie wszystkie jabłka kosztują co najmniej po 5 groszy sztuka, nie można dostać po 2. Chcę natomiast przysłuchać się z czytelnikami innej wrzawie tegoż świata z powodu nadchodzących wyborów do Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Kokosz ta od pewnego czasu jest celem ciągłych napaści ze strony kurcząt, które pod swojemi skrzydłami trzyma. Jedne ją dziobią za to, że zestarzała się i oślepła, inne za to, że skąpi im ziaren. Często rzeczywiście trudno rozpoznać, która z tych pobudek się odzywa, to tylko jest faktem, że od czasu jak ziemianie wpadli w kłopoty pieniężne i stracili zupełnie kredyt u kapitalistów, zaczęli uderzać na Towarzystwo kredytowe ziemskie, jak cielęta uderzają głowami w wymiona krów, ażeby im mleka przypuściły. Kilka pism (filuternie przezornych) otworzyło swe kolumny dla „dyskusyi“ w tej sprawie, nie przyjmując naturalnie odpowiedzialności za żaden głos niemiodopłynny. Odzywają się zaś bardzo gorzkie. Przez — woła korespondent *Rolnika i Hodowcy* — z „pergaminowemi rękami,“ którym przystojniej byłoby „niańczyć wnuki lub prawnuczęta, niż używać wszelkich możliwości starań, wpływów i protekcyi, aby się utrzymać na swych synekurach i stać na czele instytucyi.“ P. Korabita opowiada o pewnym radcy, że swoim

wpływem wyrabiał synekury, że sam wyzyskuje aż trzy, że był członkiem komisyi instrukcyjnej, która kosztowała Towarzystwo 40,000 rs., a uwieńczyła swą działalność projektem dozoru chłopsko-wojtowskiego nad majątkiem stowarzyszonych po niezapłaceniu drugiej raty itd. Jeżeli kto, to ja nie mogę mieć nic przeciwko odświeżeniu ciała radcowskiego krwią młodszą i wybieraniu na tę godność ludzi „obdarzonych energią, inicyatywą i postępowym sposobem myślenia“ — jak chce p. Korabita. Ale jeżeli te i tym podobne zarzuty mają posiadać wagę opinii dojrzałej i wywrzeć wpływ skuteczny, nie powinny być tak ogólnikowe. Śmiejąc się z tych, którzy sądzą, iż chciwość jest opatentowanym rozumem, nie należy wpadać w drugą ostateczność i obdarzać podobnym przywilejem młodości. Nie każdy radca stary jest ograniczony i nie każdy młody — mądry, ani też na odwrót. Dopominanie się więc o samo odmłodnienie jeszcze niczego nie wyraża. Potrzeba skargom i żądaniom nadać treść wyraźniejszą. O co chodzi niezadowolonym? W jakich punktach Towarzystwo błądzi lub krzywdzi stowarzyszonych? Zarzuty ogólnikowe nietylko nie osięgają skutku i są lekceważone jako objawy bezzasadnej hipokondryi, lub niechęci osobistych, ale często godzą w ludzi niezasługujących na poniewierkę. Nie dokonywałem szczegółowego przeglądu radców, ale wiem, że w ich sumie obok zer stoją cyfry i to bardzo wysokiej wartości. Niektórzy z nich byliby chlubą każdej tego rodzaju instytucyi, a tymczasem wrzucane przez jej okna kamienie mogą ich zranić. Jeżeli zaś względy przyzwoitości, czy jakiegoś innego uczucia krępują szczerość oskarżycieli w wymienianiu nazwisk i wskazywaniu osób, to powinni oni albo zrzec się bezcelowej walki na kartach dzienników, albo przenieść ją na pole właściwe — do sejmików wyborczych. Dotychczas odbywają się one metodą prostą: jakiś wpływowy szlachcic zaprasza do siebie kilkudziesięciu „sąsiadów,“ przedstawia im swojego przyjaciela na kandydata a po wypróżnieniu stosownej ilości butelek kwestya jest załatwiona. Nieraz dudek z dużym czubkiem zostaje radcą dla tego, że go poklepał po ramieniu bogaty magnat. Jeżeli tedy śród obywatelstwa ziemskiego są istotnie dość silne żywioły z „inicyatywą, energią i postępowym sposobem myślenia,“ czemuż one nie zjednoczą się, nie postawią własnych kandydatów, nie wystąpią do walki z systemem synekury i protekcyi? Polityka strusiów, chowających głowy w piasek podczas wyborów, potem bezimienne i bezadresowe ataki w pismach peryodycznych, ogólnikowe utyskiwania, przygryzki, wszystkie pęcherzyki żółciowe świadczą tylko o działaniu wątroby, ale nie mózgu. Czy też, mój czytelniku, spotkałeś kiedykolwiek w korespondencyach z prowincyi taki opis: Odbywały się u nas wybory radców do Towarzystwa kredytowego. Jedna partya postanowiła kandydatury: pp. Tadeusza, Jana i Pawła, druga — pp. Michała Piotra i Wojciecha. Przy głosowaniu ostatnia zwyciężyła znaczną (lub nieznaczną) większością. Co do mnie, nigdy takiej wiadomości nie czytałem. Słyszymy o podobnych starciach przy wyborach członków do stowarzyszeń cyklistów, wioślarzy, subjektów handlowych, nawet bankow, ale Towarzystwo kred. ziems. zawsze odnawia swój skład bez żadnych starć jawnych. Wszystko idzie gładko, bo maszyna wyborcza suto wysmarowana protekcyą. Czego nie dokona „czapka,“ to zrobi „papka“ a wreszcie „soią ludzie ludzi niewolą.“

P. Chorąży ukończył w *Wieku* swoje wywody o „arystokracyi ducha,“ czyli o „nadprodukcyi inteligencyi.“ Mając tylko cyfry studentów kończących uniwersytet warszawski w okresie dwudziestoletnim i odgadnąwszy inne (co do b. Szkoły Głównej, wyższych zakładów naukowych w Cesarstwie, za granicą itd.), wyrachował, że obecnie znajduje się w Królestwie polskiem 6,000 osób z wykształceniem uniwersyteckiem (na 500 dorosłych mężczyzn 1), a ponieważ potrzeba ich, według niego, tylko 1,150, reszta więc stanowi „nadprodukcyę.“ Nie będę rozbierał tej statystyki fantazyjnej, która po prostu nie ma żadnej wartości; radbym tylko usunąć jeden smutek szanownego autora. „Najsmutniejszą stroną — powiada on — tej sprawy jest okoliczność, że do wyższego ukształcenia garnie się u nas *po większej części* uboga młodzież sfer niższych... Doznawszy zawodu w tym względzie dyplomowany syn chłopa, stróża, rzemieślnika, niższego urzędnika itp, ma prawie zawsze pretensye do społeczeństwa.“ Naprzód jest to nieprawda, ażeby do wyższego wykształcenia garnęła się *po większej części* uboga młodzież sfer niższych,“ a powtóre czy p. Chorąży nic a nic nie słyszał o ogłoszonych przepisach, ograniczających wstęp do gimnazyów dzieciom z warstw niższych? Doprawdy walczy on z wiatrakiem.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZAMKI NA LODZIE.

Ze znacznem zainteresowaniem przypatruję się różnym utarczkom pomiędzy naszymi ziemianami a miejskimi kapitalistami, jakkolwiek sam zwykle nie wychodzę po za czysto neutralne, milczące stanowisko. Dzisiaj chciałbym jednak rzucić kilka uwag z powodu artykułu p. H. Wiercieńskiego w *Gazecie rolniczej*. Przedewszystkiem winienem tu zrobić jedną uwagę. W ziemianinie naszym siedzi jeszcze dusza jego praojców, którzy gotowi byli każdemu innemu odmiennego zdania obciąć natychmiast uszy—niech wie, co to znaczy wierzyć w innych bogów! Podobnie i p. Wiercieński już zawczasu wywija szabelką przed wyobraźnią każdego możliwego krytyka swojej utopii w kierunku taniego kredytu, śpiewając przytem szczególną piosenkę. Niechcemy powiedzieć, aby sama melodya sprowadzona była z zagranicy, bo ze wszystkiego widać, iż nasz poszukiwacz kredytu jako zając pod swojską miedzą rozmyślał nad sposobami ulżenia biedzie ziemiańskiej, lecz tylko zaznaczamy, że podobnie jak różni „agrarczycy“ niemieccy i austryaccy nuci on szczególną aryę antykapitalistyczną. Można założyć się, że jakiś sielankowy demokrata, który z całego wielkiego parcia zachodniej Europy naprzód dosłyszał jedynie wyraz: antykapitalizm, przyciśnie naszego ziemianina do piersi i ogłosi go za towarzysza z pod tego samego znaku. „Jednakże postęp ciągły cywilizacyi — czytamy — nie może być w zgodzie z owym przywilejem, jaki sobie wyrobił kapitał, obróciwszy wszystkie warstwy produkujące w poddanych swoich; dąży on do emancypacyi wszystkich (?!), do ulżenia doli pracujących, do ograniczenia wyzysku. Postęp ograniczyć się nie może na uwłaszczeniu i oswobodzeniu włościan od zależności szlachty aby ich oddać w nowe poddaństwo kapitału, aby, w miejsce chłopa, odrabiającego pańszczyznę ziemianinowi, obadwaj oni odrabiali pańszczyznę miejskiemu kapitaliście. W miarę doskonalenia się praw obowiązujących, wyzyskiwani i wyzyskujący ustąpić muszą miejsca równouprawnionym.“ Nie dość tego odwoływania się do „ogólnego dobra“; p. W. idzie dalej, bo — jak można sądzić z jego słów — każdego, kto z nim się nie zgodzi, gotów uznać za przekupionego służalca „kapitalistów.“ Pomimo to zamierzam zbadać jego projekty, chociaż zapewne nie podobam się nietylko jemu, lecz równie i miejskim kapitalistom, chętnie bowiem poświęciłbym właścicieli ziemskich, aby za tę cenę usunąć z globu ziemskiego ewą szpetną postać dziejową, jaką jest dzisiejszy renciarz, trudniący się obcinaniem kuponów. Jeżeli zaś przypatruję się z ciekawością ich wzajemnym zapasom, bynajmniej nie idzie mi tutaj o napawanie swego wzroku widokiem ich walki, lecz z innego głębszego powodu. Po za zapaśnikami istnieje jeszcze coś innego: ziemia, wyjałowiona, pozbawiona lasów itd., którą należy chronić i bronić przeciw dzisiejszym jej monopolistom.

Przejdźmy do rzeczy. Projekt p. W. opiera się na twierdzeniu, że własność ziemska u nas nie przynosi więcej nad 3% czystego dochodu, a zatem w żaden sposób nie może uiszczać nawet tak nizkiego względnie procentu, na jaki otrzymuje pożyczki za pośrednictwem Towarzystwa kredytowego ziemskiego. A ponieważ w tej pożyczce należy opłacać nietylko procenty, lecz nadto jeszcze zwracać kapitał w ratach amortyzacyjnych, p. W. mniema, że za wszelką cenę trzeba postarać się, bez uwagi na krzyki i insynuacye ze strony kapitalistów-renciarzy, wyjednania u władz najwyższych nowej ustawy kredytowej, która spłaciłaby dzisiejsze 5%-owe listy T. K. Z., a natomiast wypuściła inne, z których odsetki nie przewyższałyby w żaden sposób wysokości 2% rocznie. Jest to sielankowe marzenie, które napewno, gdyby miało u nas jakiekolwiek szanse powodzenia, wywołałoby z jednej strony istotny ryk zgrozy pomiędzy obcinaczami kuponów, z drugiej zaś napełniło serca ziemiańskie gorącą radością, która, niestety, winna dzisiaj zamienić się na westchnienia. Musimy jednak podciąć nieco skrzydła owemu 2-procentowemu fundamentowi, na którym wzniesiono całe rusztowanie utopii. Nie możemy na razie sprawdzić, jakim sposobem cyfra ta przyszła na świat, gdyż projektodawca nie dostarcza nam odpowiednich wyliczeń, a tymczasem z doświadczenia wiemy, że ziemianin nie odznacza się umiejętnością buchhalteryjną. Mniejsza jednak o to. Zatrzymajmy się nieco nad pewnem zagadnieniem teoretycznem, które jest związane z powyższą cyfrą procentów. A naprzód co to jest wartość gruntu? Jeżeli mówię np. o kamienicy, w jednej chwili mogę odpowiedzieć na to, obliczając jej wartość na tabliczce ołówkiem. Robotnik kosztował tyle, materyał zaś znowu tyle itd., słowem wypadało ogółem 50 tysięcy rubli, a ponieważ po otrąceniu reparacyj, podatków, amortyzacyj i innych ciężarów otrzymuje rocznie na czysto dochodu 1,500 rs., przeto rzecz jasna, że dostałem 3% z wyłożonego kapitału. Inaczej rzeczy stoją z ziemią. Rolnik, choć ją posiada z prawem użycia i nadużycia, nie stworzył jej. Wraz ze swoją urodzajnością istnieje ona z łaski przyrody, zmonopolizowana na własność prywatną. Obecne jego zadanie ogranicza się jeszcze aż nazbyt często do wyczerpywania soków, stworzonych przez naturę. Faktyczną wartość posiadają tutaj tylko plony, wydobyte z tych soków przez siłę ludzką, tę jedyną potęgę wartościotwórczą. Zboże, bydło itd. możemy w zupełności przyrównywać, jako wytwory pracy ludzkiej, do kamienicy, będącej również takim samym wytworem. Otóż wartość pewnego kawałka gruntu jest jedynie skapitalizowaną rentą ziemską, tj. bierzemy czysty dochód, otrzymywany ze sprzedaży płodów rolnych i według bieżącej stopy procentowej obliczamy, jak wielkiego trzeba kapitału, aby osiągnąć w postaci procentu taką samą roczną sumę dochodu. Jeżeli stopa bieżąca wynosi 6%, znaczy to, że majątek, dający rocznie 3,000 czystego dochodu, posiada wartość 50 tys. rubli. Odpowiednio do tego, jak dzięki warunkom rynkowym sprzedaży dochód ów zwiększa się lub spada, wartość ziemi odźwierciedla równolegle wahania, naturalnie jeżeli okoliczności rynkowe nie są przypadkowej,

lecz trwałej natury. Przed laty 25 mniej więcej ziemia dzięki nie pracy obywateli ziemskich, lecz siłom społecznym rynku, podnoszącym dochody przy tym samym nakładzie, poszła niezmiernie w górę. Majątki przechodziły wtedy z jednych rąk w inne, kupowane według podwyższonej ceny. Lecz te same stosunki, które wywołały ową niczem niezasłużoną zwyżkę i uczyniły, że ziemianin zbierał zyski z tego, czego nie posiał, w dalszym ciągu zmieniły swój kierunek i sprowadziły zmniejszenie dochodu, a z nim i wartości gruntów. Atoli ten i ów nie może jeszcze oswoić się z myślą, że wartość ziemi spadła 20% i więcej, oblicza u siebie na biurku posiadłość według mniej więcej dawnego szacunku i dostaje wtedy cyfrę trzech procentów a nawet jednego. Jest to jednak na wskroś rachunek fałszywy, o którym przekonywa się przy sprzedaży, kiedy kupujący bierze stopę 5% jako podstawę dla kapitalizowania renty i wartości majątku. W ustroju kapitalistycznym ziemia staje się pewnego rodzaju akcyą, lecz nasz ziemianin nie zdołał się jeszcze pogodzić z tą myślą. Jeżeli zaś istotnie nabywamy dziś majątki ziemskie według stopy 3%, co najwyżej jest to dowodem, że ziemia u nas jeszcze nie spadła do należytej wartości i że nie nauczyliśmy się myśleć tak, jak wymaga ustrój ekonomiczny, w którym żyjemy. Zresztą nie dotykalibyśmy tej zawiłej kwestyi teoretycznej, trudnej do wyczerpania w kilku słowach, gdyby nie to, że słyszymy z ust obywatelskich ciągłe narzekania na nizki procent z ziemi zamiast skarg na zniżkę jej wartości lub uciechy, że wartość ta spada powoli i nie doszła jeszcze do tego, żeby już zaczęła procentować należycie do swojej nizkiej ceny. Zresztą winniśmy zaznaczyć, że całe jądro wspomnianego powyżej projektu kredytowego spoczywa nie w owych trzech procentach. Czy dochody z ziemi odpowiednio do bieżącej ceny gruntu wynoszą więcej czy też mniej, jest to rzeczą nawskroś obojętną. Panu W. chodzi głównie o pożyczkę dwuprocentową. Otóż zadajmy sobie pytanie, czy istnieje jakakolwiek możliwość, aby nasz szlachcic, który najtańszy udzielany sobie przez kapitalistów kredyt opłaca daniną 5-procentową, a niekiedy w dalszych numerach hypotecznych niemal podwójnie tak wielką, nagle dostał kapitały na 2%? P. Wierciński w danym razie trzyma się metody czysto szlacheckiej — budowania zamków na lodzie. Naprzód powiedział on kilka słów „prawdy" Towarzystwu K. Z., że winno poszukiwać „gdzieś" tańszego kredytu niż dotychczasowy, później sam zrzekł się wszelkich wskazówek praktycznych w tej mierze. „Może dostarczyłby taniego kredytu skarb państwa?" Ha, zobaczymy! Otóż przyjrzyjmy się, na jakich warunkach i w jakim stanie skarb ten istnieje. Państwa europejskie nietylko że nie posiadają kapitałów leżących, lecz każde z nich od czasu do czasu zwiększa swoje długi. Pożyczki państwowe ruskie wahają się pomiędzy opłatą 4 a 5-procentową. A zatem skarb będzie pożyczał po 4% (bierzemy normę najniższą) i odpowiednio do życzenia p. W. oddawał po 2% naszemu ziemianinowi! Zasada to chyba nie z tego świata. Przypuśćmy jednak, że skarb pójdzie po tej nieprawdopodobnej drodze. Skąd pokryje on deficyt dwuprocentowy względem swoich wierzycieli? Albo ziemianin będzie dopłacał tę sumę w postaci nowych podatków, a wtedy pożyczka stanie się 4%, albo złożą się na niego inne warstwy, a wtedy on będzie żył wyzyskiem. O tem, żeby kapitały krajowe dostarczyły pożyczki 2%, nasz utopista z góry powątpiewa. Istotnie, gdyby liczono na to, na pewno przegranoby sprawę, bo kapitalista omijaniem nowych listów zastawnych T. K. Z. i pożyczeniem jedynie wprost na hypotekę wytrzymałby się na pożądanej wysokości procentowej. Pozostają jedynie kapitaliści zagraniczni, i na nich to głównie pokłada swoje nadzieje p. W. Należy nam sprawdzić, o ile są one uzasadnione. Weźmy Francyę. Przerzucając listę pożyczek municypalnych w tym kraju, widzę wszędzie stopę 3%-ową; kasy oszczędności udzielając podobny procent, pożyczka państwowa nie stoi niżej od 2½%. A ponieważ stopa długu państwowego, jako najpewniejszej lokacyi, jest w kraju najniższą, kapitały nie zechcą udać się na wschód, aby znaleźć pomieszczenie na majątku polskiego obywatela według stopy niższej, niż najniższa a najpewniejsza krajowa, zwłaszcza że przy wahaniu się kursu rubla mogą nastąpić dalsze zawikłania. Zresztą ów Wschód wymaga kapitałów i otrzymuje je z Zachodu, lecz płaci je inaczej. Pożyczki państwowe Grecyi, Rosyi itd. dają około 5%, a znowu są one pewniejszą lokacyą, niż ofiarowana im przez p. W.. podobnie jeśli w tych krajach powstają za pieniądze zagraniczne koleje żelazne, państwo gwarantuje znowu odpowiednio wysokie dochody; kiedy zaś rzucą się one na przedsiębiorstwa nieporęczone (np. tramwaje, kopalnie), dochód niekiedy wynosi 20%. I otóż kapitalista europejski winien zostać pewnego pięknego poranku o tyle wspaniałomyślnym, że zaofiaruje naszemu ziemianinowi pożyczkę dwuprocentową, lub o tyle nieznającym stosunków, że innych lokacyj nie zobaczy! Niech ziemianin nasz pobiera nie 3%, lecz ½% z majątku swego, kapitalistów to nie obchodzi. Jeśli chce otrzymać pożyczkę, winien płacić bieżący procent, czy dochody jego na to pozwalają, czy też nie. W tym razie, gdyby do spółki zaprosił wszystkich utopistów świata, nie nie wskóra wraz z nimi. Dopóki istnieć będzie procentujący kapitał — istnieć zaś musi, póki istnieje posiadłość prywatna — nic się w tej mierze nie zmieni.

Zbyteczną byłoby rzeczą zatrzymywać się dłużej nad utopią p. W. Natomiast warto zaznaczyć małą znajomość dróg polepszenia swego bytu wśród ziemiaństwa krajowego. Przedstawiciele jego będą biadali nad losem i szukali lekarstwa w utopiach niemożliwych, prawiąc własnym swym instytucyom wymowne kazania, że nie wcielają one w życie tych płodów rozgorączkowanej wyobraźni. Tymczasem ani słowem nie wspomną o planach, wysnuwanych przez swoich współklasowców z krajów bardziej wyrobionych, gdzie ludzie mniej bawią się w mrzonki, lecz więcej liczą się z rzeczywistością. Weźmy chociaż pobliskie Niemcy. Od r. 1847 kołacze się tam sprawa niezwracalnej pożyczki rolnej. Jednym z pierwszych projektodawców był Rodbertus, ów szczególny dziwoląg umysłowy, zerkający jednem okiem teoretycznie ku socyalizmowi, drugiem w kierunku najbardziej zachowawczych urządzeń, w praktyce zaś odkładający wszystkie ideały na lat 500 i dzisiaj poszukujący jedynie środków, jak wyzyskać skarb państwowy i kieszeń rentierów miejskich na rzecz junkrów. Otóż wystąpił on z projektem następującym. Naprzód zaznaczył on, mniejsza o słuszność, że natura ulepszeń fabrycznych a rolnych jest zgoła odmienną. Kapitał, wyłożony na kupno domu, fabrykę, prowadzenie procederu, ulega amortyzacyi w miarę niszczenia się lub zużywania samego przedmiotu, tak iż jeśli została w tym celu zaciągnięta jakaś pożyczka, można ją spłacać ratami wraz z powyższą amortyzacyą. Tymczasem kapitał, wyłożony na kupno majątku, wydaje procenty, lecz nigdy nie ulega umarzaniu, gdyż sama ziemia nie zużywa się. Żąda więc R., aby państwo pozwalało powołać do życi instytucyę „iście narodową niemiecką." Wyobraźmy sobie nasze T. K. Z., lecz zamiast listów zastawnych, rentowe. Te listy rentowe przynoszą bieżący w danem społeczeństwie procent, zmieniający się z biegiem czasu odpowiednio do zmian w stopie chociażby pożyczki państwowej. Lecz sam kapitał, wyłożony na kupno listów, nie bywa zwracany; obywatel ziemski zaciąga pożyczkę wieczystą. Renta krąży z rąk do rąk, tak iż kapitaliście wszystko jedno, czy posiada ją, czy inne papiery, podobnie procentujące, i wobec tego nie dba, że obywatel nie zwraca samej pożyczki. Jakkolwiek będziemy zapatrywali się na podstawy teoretyczne takiego projektu, winniśmy mu przyznać to, że nie jest utopią i przynosząc korzyści ziemiaństwu, jednocześnie nie odstrasza kapitalisty. Nasi ziemianie jednak pono o tem wszystkiem nie słyszeli — dotrzymują słowa naszemu Rejowi i jak zając nie ruszają się za swojskie widnokręgi.

K. R. Ż.

SZEWC GALICYJSKI.

Pamiętna jest wrzawa, która powstała kilka lat temu wśród szewców galicyjskich wskutek pojawienia się na rynku obuwia fabrycznego. W niniejszym artykule mamy zamiar przedstawić w krótkim zarysie stan tego szewctwa na podstawie dzieła dr. Paygerta, które się ukazało w roku przeszłym w *Staats-und socialwissenschaftliche Forschungen* p. t. "Die sociale und wirthschaftliche Lage der galizischen Schuhmacher." O ile wnosimy z tej pracy, można jeszcze dzisiaj w Galicyi z latarką w ręku odszukać kilka drobnych miejscowości, gdzie dotychczas wegetuje przemysł szewcki domowy, zachowując przytem patryarchalne stosunki, które dla duszy filisterskiej, kąpanej w mrzonkach drobnomieszczaństwa, stanowią najwyższy ideał ustroju społecznego... Do takich nielicznych rajów na ziemi zalicza się Uhnów, maleńka mieścina, licząca 2,681 ludności chrześciańskiej. Wszyscy jej przedstawiciele zajmują się, oprócz rzemiosła, rolnictwom, gdyż w posiadaniu każdej rodziny (z wyjątkiem 13) znajduje się domek z ogródkiem oraz kilka morgów ziemi. Istnieje nadto w Uhnowie posiadłość gminna, wynosząca 739 morgów ziemi uprawnej i 487 morgów pastwisk. Szewcy uhnowscy tworzą korporacyę cechową, która wybiera cechmistrza, ma swój kodeks moralny w postaci miedzianej na złotym łańcuszku tablicy, trzymanej w specyalnej skrzyni i.. własny bat dla poskramiania gwałcicieli dziesięciorga przykazań szewctwa uchnowskiego. Czcigodni i wielce bogobojni obywatele tej ziemi obiecancj uprawiają jednocześnie garbarstwo; szyciu zaś butów oddają się gorliwie tylko w przeciągu 5-ciu miesięcy, stosując się pod tym względem do wymagań swoich kundmanów — chłopów. Wobec tak małej specyalizacyi, rzemiosło znajdować się tu musi w stanie omal nie przedpotowym: obcęgi i młotek — protoplaści a obecnie rywale maszyny — oto głównie narzędzia, jakiemi szewc uhnowski pracuje. Nie wiele, co prawda, troszczy się on o doskonałość swych wyrobów, gdyż większa ich część znajduje zbyt na jarmarkach miejscowych i okolicznych. Tutaj czatuje cała chmara handlarzów skór w celu przeprowadzenia podwójnej buchalteryi co do ilości przywiezionych przez swych wierzycieli i sprzedanych w przeciągu dnia towarów. Jak się kończą takie sceny uhnowskiej sielanki, łatwo się domyślić. Zauważyć należy, iż w ostatnich czasach interesy uhnowian pogorszyły się wskutek tego, że nie mogą oni dotrzymać kroku rozwojowi szewctwa w pozostałej Galicyi. Gdy przedtem nie mogli nadążyć popytowi ze strony swych odbiorców, obecnie zbyt zmniejszył się do tego stopnia, że cena jednej pary butów spadła z 4 zlr. na 2 zlr. 80 centów. Chociaż potop kapitalizmu i tutaj zalewa przemysł drobny, jednakże szewcy uhnowscy nie zajrzeli w oczy biedzie w całem tego słowa znaczeniu. Bądź co bądź, położenie ich jest o wiele pomyślniejsze, niż ich współbraci i robotników, z trudnością opędzających w dusznem mieście potrzeby najniezbędniejsze nędznego

swego żywota. Wprawdzie chleb i kartofel są podstawowymi produktami spożywczymi szewca, jednak jest on przedsiębiorcą na własną rękę. Dla zaspokojenia swych potrzeb nie ucieka się do gospodarstwa wymiennego, gdyż, posiadając trzy morgi gruntu, nie kupuje nic, oprócz mięsa i soli. Wielką podporą również dla uhnowianina jest krówka. Co zaś najbardziej uderza u uhnowian, to ich domki, które czystością swoją przyjemnie odbijają od tła brudów galicyjskich. Ściany, co sobota przez skrzętną gosposię wybielone i obrazami obwieszone, łóżko czyste, a na nim 3 poduszki, ławka i skrzynia, przeznaczone na spoczynek dla dzieci — oto mniej więcej wygląd mieszkania. Jeżeli dzieci po utworzeniu własnych stadeł rodzinnych zostają się nadal przy rodzicach, to często 10—11 osób mieści się w jednym pokoju. W tych warunkach nie rozkłada się jednakże ognisko domowe uhnowianina, w którego życiu nowe prądy dużych szczerb jeszcze nie porobiły. Nowoczesna produkcya nie stargała tu jeszcze brutalną swą ręką spójni, łączącej członków rodziny, a ciągłe obcowanie i wspólna praca dzieci z rodzicami zacieśnia te węzły i pozwala starszym krzewić zasady swej moralności domorosłej w sercach pokolenia młodego. Liczba dzieci nielegalnych jest względnie minimalna; zresztą większa ich część bywa przez następujący ślub uprawnianą. Ojcowskie traktowanie czeladników, których zresztą tu jest niewielu, wstrzemięźliwość, pobożność, lojalność, spryt i pracowitość — oto są cechy uhnowian, wybujałe na gruncie ich zaściankowej gospodarki. O ile ich stan ekonomiczny sprzyja rozwojowi fizycznemu, widać z tego, że 31% ludności uhnowskiej okazuje zdatność do służby wojskowej, gdy Galicya wogóle dostarcza tylko 12%. Piękny tedy widok przedstawia dogorywające życie średniowieczne tego miasteczka, widziane przez różowe szkiełka autora. Tak mniej więcej jest w Uhnowie obecnie i tak było wszędzie w miejscowościach innych, zanim przemysł domowy zaczął się staczać w przepaść. Aczkolwiek było to życie bynajmniej nie zbytkowne, jednakże, zaledwie koniec z końcem wiążąc, spozierał nasz szewc pogodnie w przyszłość, gdyż zarabiał w latach od r. 1870—80 minimalnie 258 złr. Ale oto wybija ostatnia godzina dla jego produkcyi drobnej. Maszyna do szycia i jednocześnie z nią obuwie fabryczne przypiera go do muru. Odtąd wszystko idzie gorzej. Jednocześnie tracą jarmarki poprzednią swą doniosłość; szewc zaś, który jeszcze maszyny nie zna, prowadzi dalej swą fuszerkę, będąc zmuszony poprzestać na lichych 100 reńskich rocznego zarobku. Dużo do roboty ma on tylko w jesieni; jest to jego sezon. Wtedy pracuje on od 3 zrana do 11 wieczorem (20 godzin!). W lecie zaś dzierżawi ziemię, trudni się garbarstwem, rymarstwem lub jako najmita pracuje w polu. Tutaj leżąc na słomie w baraku, umyślnie przez pana dla robotników postawionym, przypomina sobie te dobre czasy, kiedy nie tułał się po obcych zagonach, a groźne widmo nędzy nie stało mu jeszcze przed oczami. Powróciwszy do domu, ma nieborak dwie drogi, lecz obie prowadzą do niewolnictwa. Porzuca tedy majsterek wszystkie skrupuły i zaczyna pracować na swego kolegę albo zaciągać dług u handlarza skór, który, rozumie się, korzysta z tej sposobności, aby podwyższyć cenę towaru o 10% i w dodatku oszukać na wadze. Szewc, któremu bieda zatyka usta, znosi jarzmo swoje cierpliwie, zwłaszcza że pozostaje on w wiecznej zależności od handlarza, nie będąc w stanie wypłacić mu się już nigdy z całkowitego długu. Leniwie, ciężko wlecze się życie jego w pochyłej nikłej lepiance, wobec której domki uhnowskie wydają się okazałymi gmachami. Stan taki musi być rzeczywiście rozpaczliwym, bo niektórzy porzucają zupełnie swoje rzemiosło i wynajmują się na posługaczów. Zresztą przeważna część ludzi się jeszcze nadzieją lepszych czasów (oprócz szewców z okolic Lwowa, przejętych odmiennymi ideałami społecznymi). Domowy przemysł, wołają zwykle ekonomiści, hartuje charakter człowieka, wyrabia w nim niezależność, uczucia obywatelskie i pozwala na zmianę zajęć, co się korzystnie odbija na zdrowiu. Ale za to jest rzemieślnik w danym wypadku przykuty niewidzialnym łańcuchem do chłopa, oddany na łaskę i niełaskę jego interesów. Dla tego też podczas nieurodzaju wpada nasz pół-rzemieślnik w szpony handlarzów zatrudniających na własną rękę do 30-u ludzi albo jest wyzyskiwany przez własnych swoich współbraci. W taki to sposób powstaje klasa nowo-kreowanych przedsiębiorców, a przemysł domowy przyjmuje formy wyzysku najwstrętniejszego. Podobnie jak kataklizmy podnoszą kulę ziemską w jednem miejscu, a zniżają w drugiem, tak katastrofy przemysłowe wywyższają jednych i uciemiężają drugich. Z początku zaciąga się rzemieślnik, który pracował dotychczas w domu, do kadr najmickich tylko na miesiące miernego targu, ale potem zwolna godzi się ze swem nowem położeniem i zaczyna pracować stale na swego kolegę majstra. Ten ostatni daje mu materyał i płaci za robotę od pary butów chłopskich 15—30 centów. Tracąc ustawicznie grunt pod nogami wskutek upadku jarmarków, zmuszony jest nasz wykolejony szewc zbywać towar nie odbiorcom bezpośrednim, lecz wciskającym się między obie strony pośrednikom. O konkurencyi jego z wyrobami fabrycznymi mowy być nie może gdyż zaskorupiałość nie pozwala mu zaznajomić się ze zdobyczami techniki nowoczesnej, przed której rozpędzonym biegiem kornie schyla głowę. Taki jest los mniej więcej 20,000 szewców galicyjskich!

(D. n.).

H. Forszteter.

PRZEMYSŁ HANDEL I FINANSE.

Zakaz wywozu mięsa wieprzowego i słoniny do Austryi, ogłoszony przez rząd tamtejszy, dał się bardzo uczuć hodowcom trzody chlewnej w Królestwie, głównie bowiem prowadzili oni handel z Austryą. Wagony, które odeszły do Francyi z szynkami i innem mięsem wieprzowem, zostały zwrócone dostawcom, co naraziło ich na znaczne straty.

Nowe współzawodnictwo. Cukrownicy zaniepokojeni są pogłoskami o rozwijającym się coraz bardziej na Syberyi przemyśle cukrowniczym, który z czasem zupełnie może zaspokoić potrzeby miejscowe, pokrywane dotychczas głównie przez wytwórców z prowincyj południowo - zachodnich. Plantacye buraków w okolicach Minusińska, w kraju Semipałatyńskim i Nadamurskim dały po 180 berkowców z dziesięciny. Taki rezultat osiągnąć u nas można tylko przy dobrej kulturze ziemi. Przedsiębiorcy syberyjscy, zachęceni powodzeniem, zamierzają rozszerzyć swoje działanie.

Węgiel zagraniczny. Przywóz z zagranicy węgla kamiennego i koksu zmniejszył się, szczególnie od połowy roku zeszłego, po wzbronieniu wywozu zboża za granicę. Taki stan rzeczy kupcy tłomaczą tem, iż parostatki angielskie, przybywające do portów ruskich z Londynu i Newkastle z ładunkami węgla, boją się, iżby po wyładowaniu go w portach ruskich w braku transportów zbożowych nie powracać bez ładunku do Anglii. Ta okoliczność wywołała podwyższenie frachtów zagranicznych. Z drugiej strony ruskie Towarzystwo handlu i żeglugi parowej zamierza wkrótce rozpocząć wywóz węgla ruskiego za granicę, do Konstantynopola i innych portów tureckich.

Jarmark na futra. Główny rynek handlu futrami w Europie znajduje się w Lipsku, gdzie co rok zjeżdżają kupcy hurtowni i ustanawiają ceny na różne gatunki futer. Kupcy ruscy już od lat kilku starają się o przeniesienie jarmarku do Moskwy lub Kijowa. Zagraniczni zaś przeciwni byli temu i wskazywali jako punkt dogodny — Wrocław. Obecnie po długich naradach postanowiono urządzić jarmark na futra w Warszawie, jako punkcie leżącym na środku drogi pomiędzy dwoma głównymi rynkami handlu — Lipskiem i Moskwą.

Handel końmi. W ostatnich czasach daje się zauważyć za granicą znaczny popyt na konie ruskie. Niedawno wysłano z portu libawskiego duży transport tych zwierząt do Danii, skąd oczekiwane są dalsze zapotrzebowania. Skutkiem tego spodziewane jest ożywienie handlu końmi i podwyższenie cen.

Pożyczka kolejowa. Projekt ministeryum skarbu wypuszczenia 75 milionów 4½% wewnętrznej pożyczki kolejowej, otrzymał Najwyższe zatwierdzenie. Ze względu na pomyślny stan rynku pieniężnego w Petersburgu, wyrażający się w niezwykle taniej stopie dyskonta, postanowiono nie ogłaszać podpisów na nowe konsole kolejowe, lecz sprzedawać sztuki z wolnej ręki, nie niżej *pari*, w Banku państwa i jego oddziałach. Nowa konsolidowana 4½% pożyczka kolejowa zostaje wypuszczona w zamian za przyjęte przez ministeryum skarbu obligacye kolei Południowo-Zachodnich, Władykaukazkiej i Orłowsko-Witebskiej. Obligacye te ministeryum nabyło po 96%.

— Minister spraw wewnętrznych zatwierdził orzeczenie departamentu lekarskiego w sprawie możliwej normy zawartości kąkolu w mące. Nie może ona przekraczać $^1/_{16}$%; w razach wyjątkowych — $^1/_8$%, najwięcej zaś $^1/_4$%.

— Opracowano przepisy, mające na celu zapobieganie bankructwom towarzystw akcyjnych i banków. Minister skarbu posiadać będzie prawo odbywania rewizyj niespodzianych dla sprawdzenia czynności instytucyj finansowych.

Z rynku.

Ceny bieżące. Warszawa, 5 i 6 kwietnia. Dowóz zboża na targ na placu Witkowskiego był mały. Wystawiono na sprzedaż tylko 700 korcy pszenicy i 100 korcy owsa. Żyta zupełnie nie dostawiono. Na pszenicę popyt był mocny. Za białą płacono 8,40—8,45, za pstrą 8,30, tranzakcye na wyborową z powodu wygórowanych żądań ze strony wytwórców do skutku nie przychodziły. Owies bez zmiany, płacono po 295—340, stosownie do gatunku. Za pud ziarna płacono 30, 35 do 37½ k., za pud słomy — 25—27 k. Na praskim targu zbożowym dowóz wynosił 42 wagony, z których 9 było żyta, 22 owsa, 9 jęczmienia i 3 kaszy jaglanej. Usposobienie dla żyta słabe. Za wyborowe płacono 118—122 k., za średnie 112—117, za pospolite 106 — 110. Usposobienie dla owsa spokojne: za wyborowy brano po 90 — 96 k., za średni 82—88, za pospolity 75—80. Grykę sprzedawano po 108—114 k., stosownie do jakości ziarna. Jęczmień bez zmiany: płacono stosownie do gatunku 80—106 k. Kasza jaglana słabo: kupowano ją po 130—142 k. Za kukurydzę płacono 71 — 74 k. Zapas produktów roślinnych w magazynach tranzytowych w d. 4 kwietnia wynosił 894 wagonów. Ceny zboża były następujące: Żyto (pud) od 115—120 kop., pszenica 110—118, jęczmień 85—105, kasza jaglana 125—135, kasza gryczana 165—170, gryka 108—110, groch 115—130, kukurydza 68—70. Wiadro okowity 100% rs. 10,85 netto. Wiadro 78% rs. 8,62. Dowozy i zapasy dostateczne. Cena okowity Tow. rektyfikacyi — 10,75.

— Łódź, 3 kwietnia. Znaczna i ciągle trwająca zniżka cen przędzy wełnianej pobudziła fabrykantów łódzkich i częstochowskich do narad wspólnych nad sprawą unormowania handlu tym towarem i utrzymania cen stałych. Nie doprowadziło to jednak do niczego: bezmyślne współzawodnictwo sroży się w dalszym ciągu, składy są zapchane przędzą, która nie znajdując nabywców, straciła na wartości w ciągu marca znowu 10%. Zniżka cen za towary białe w hurtowej sprzedaży krajowej została już ustanowioną i obowiązuje od d. 1-go kwietnia. Tyczy się ona dwóch wyrobów białych, *creasu* i t. zw. *biasu* ruskiego. Różnica w cenie względnie do poprzedniej wynosi $^1/_4$, $^1/_2$, $^3/_4$ i cała kopiejka na arszynie. Z tej zniżki korzystają nietylko nowonabywcy owych towarów, ale również i ci wszyscy kup-

cy, którzy zaopatrzyli się w nie od początku sezonu letniego.

— Według doniesienia gazety *Petersb. wied.* odbyła się już narada komisyi do uregulowania handlu zbożowego. Uchwalono dopuszczać tylko wywóz zbóż, zawierających jeno tolerowany procent przymieszek.

Rynek pieniężny. Petersburg, 3 kwietnia. Podobno rada państwa zatwierdziła już ustawę zgromadzeń giełdowych. Zgromadzenia te składać się mają z kupców pierwszej i drugiej gildyj, wnoszących corok opłatę za prawo wstępu na giełdę. Członkami zgromadzeń mogą być także towarzystwa akcyjne i przemysłowo-handlowe (wkładowe), w osobach dyrektorów i prezesów.

— *Birż. wiedomosti* donoszą: „W ciągu ostatnich dwuch tygodni otrzymano w Petersburgu zarówno bezpośrednio z Londynu, jak i przez Berlin znaczne transporty złota, które oddane zostały w całości do rozporządzenia Banku państwa. Przesyłki z Berlina oceniane są na 25 mil. marek niemieckich, a z depozytu firmy londyńskiej Rotszyldów otrzymano z powrotem $1^1/_2$ mil. funtów szterlingów. Od d. 13-go do 28-go marca oddano ogólnie do rozporządzenia Banku państwa $19^1/_2$ mil. rubli w złocie, zaliczonych na rachunek sum u bankierów zagranicznych i $9^1/_2$ mil., oddanych bezpośredulo do kasy obrotowej banku. W chwili obecnej suma złota, znajdująca się w rozporządzeniu Banku do operacyj handlowych, dosięga 300 mil. rubli, a mianowicie $19^1/_2$ mil. (w tej liczbie złoto, odpowiadające wartości podług kursu $165^3/_4$ mil. rubli) leży w kasie handlowej Banku, a $125^1/_2$ zostawiono do dyspozycyi bankierów zagranicznych. Powiększenie sum złota, stanowiących własność Banku, o 24 mil. rubli w końcu marca, jest skutkiem oddania Bankowi ze skarbu państwa części sum, złożonych u bankierów zagranicznych, wzamian za co Bank dostarczył skarbowi odpowiednią sumę biletów kredytowych. Przelanie to jest dalszym ciągiem operacyj, mających na celu utrzymanie zapasów złota, zgromadzonych uprzednio przez ministra skarbu."

— Listy zastawne ziemskie odzyskały 40 kop., gdy likwidacyjne straciły 90 k. (62.20), a pożyczki wschodnie zostały bez zmiany. Banknoty ruskie w obrotach natychmiastowych podniosły się o 15 fen., a w dostawowych — o 35.

— W d. 6 kwietnia ruble w gotówce cenionu 208,90, na dostawę — 209.

KRONIKA.

Samodzielność mularzy. *Kuryer warsz.* podaje następujące wiadomości o mularzach. Na zgromadzeniu starszych w magistracie wystąpili oni z żądaniem skrócenia czasu pracy o 2 godziny i podwyższenia płacy o 2 ruble dziennie. Najemnicy mularscy pracowali dotychczas 14 godzin (od 5-ej do 7-ej), a pobierali za swój trud mozolny 60 kop. przeciętnie dziennie. W petycyi podanej na ręce starszego majstra, p. Czosnowskiego, domagali się oni dnia roboczego 12-godzinnego, od 6-ej rano do 6-ej wieczorem. „Większość majstrów żądanie to uważała za bardzo słuszne i pożyteczne; jednak na razie, przy rozpoczynających się robotach sezonowych, uznano za możliwe skrócić dzień roboczy tylko o jedną godzinę, obiecując w krótkim czasie skrócić go i o drugą."

Obecnie, wmyśl właśnie tych żądań i pomimo pilnych robót sezonowych, skutkiem niecierpliwości czeladzi, która bała się zbyt długo na spełnienie obietnice czekać, u niektórych majstrów od tygodnia przyjęto dzień roboczy od 6-ej do 6-ej. Pod względem płacy także zaszły zmiany ku lepszemu, ale zawdzięczają je mularze nietylko chwilowo pomyślnym warunkom rynku ich pracy — popytowi na siłę roboczą tego rodzaju najemników, wynikającemu z gorączki budowlanej, której pierwsze wiosenne paroksyzmy już zaczynają się objawiać, ale także i swojej postawie. Zarobki sztukatorów podskoczyły do rs. 1 kop. 80 dziennie, płace innych robotników mularskich, dzięki natarciu na chlebodawców, podniosły się od rs. 1 kop. 5 do rs. 1 k. 20 dziennie. Zdobycze to jednak są dorywcze i niepowszechne.

Godnym uwagi jest skład rzeszy mularskiej u nas: przeważają w niej żywioły niececchowe, które jednak zachowaniem się swojem wobec pryncypałów dały więcej dowodów zrozumienia własnych interesów i tem samem wykazały więcej samodzielności, niż ich uprzywilejowani towarzysze — czeladnicy. Postępek, którego oni niedawno dopuścili się na swojem zgromadzeniu kwartalnem, świadczyć może o wielkiem zacofaniu albo o chęci wyróżnienia się od gminu niececchowego. Kiedy bowiem poruszono śród nich sprawę skrócenia godzin pracy, to oni ten wniosek odrzucili.

Z.

Efemeryda filantropii. Nic nie pomogła uchwała oddziału tanich kuchen, która zalecała zarządowi ich utrzymanie wszelkiemi siłami kuchni nr. 3 przy ulicy Czerniakowskiej—pomimo umoralniającego wpływu jej na robotników — upadła ona d. 2 kwietnia. Oto jest życiorys tej dobrodziejki. Założona 24 sierpnia 1890 r., żyła tylko dwa lata. Tę niedługowieczność zawdzięcza obojętności tych, dla których jej wpływ moralny na jej klientów z natury rzeczy był wodą na ich młyn. Ojcowie chrzestni tej instytucyi, pp. fabrykanci, zdobyć się potrafili tylko na pieluszki dla niej: dali na urządzenie 3,000 rs.

Początki były dobre. Liczba obiadów, wydawanych codziennie przez kuchnię, dochodziła do kilkuset, urządzono nawet śniadania i wieczerze, w porze zaś letniej w ogródku kuchni robotnicy zbierali się z rodzinami. Ale potem stało się z nią to, co się staje z chrząszczem, który wpada do mrowiska. Między nią a całym zastępem szynkarzy, posiadających swoje zakłady w dzielnicy fabrycznej, wybuchła walka współzawodnicza na śmierć i życie. Widząc, że robotnicy chętniej uczęszczają do taniej kuchni, niż do ich przybytków, szynkarze zagryźli ją. Podobno uratować ją mogła pomoc fabrykantów, gdyby dla stołujących się w niej robotników otwarli byli kredyt, jak to czynią dla nich względem sklepów Merkurego. Tem bardziej uczynić to winni byli, że oddział tanich kuchen tylko do określonych rozmiarów szafować może groszem publicznym i kredytu bez rękojmi zarządów fabrycznych nie udziela. Wiedząc, że takiej wędki kuchnia nie posiada, szynkarze i właściciele bawaryj zastawili ją u siebie. Położenie było zręcznie wyzyskane i „gawiedź" (wyraz *Kur. warsz.*) prędko się odwróciła tyłem do umoralniającej ją instytucyi. Robotnicy „poczęli tłumnie owe szynki i traktyernie odwiedzać, zwłaszcza że pomimo lichego jedzenia, brudnych nakryć i różnych niedogodności, silną pokusę stanowił trunek, dodający chwilowej fantazyi i pewnego rezonu, bez względu na późniejsze opłakane skutki dla zdrowia i kieszeni."

Trudno zaprzeczyć, że jeśli ktoś wzywa teraz fabrykantów, żeby błąd naprawili, wskrzeszając kuchnię i popierając ją, to odwołuje się wprost do dobrze pojętego interesu pracodawcy. Pewnem jest także to, że słabą instytucyę, umieszczoną w siedlisku pasorzytniczych pośredników, pożarto. Ale sedno rzeczy leży głębiej. Upadku kuchni taniej nr. 3 szukać należy nietylko w zwycięzkiej walce szynkarzy, ale i w instynktach ludności pracującej. Ludność tę ciągnie do swojej jaskini zbójeckiej szynkarz, rozstawiający sidła lichwy, ale właściwa dla niej droga przechodzi pomiędzy Scyllą filantropii a Charybdą rozboju szynkarskiego. Najstosowniejszem byłoby dla b. stołowników kuchni taniej posiąść większe środki na stworzenie i utrzymanie własnej kolektywnej kuchni, urządzonej zgodnie z ich smakiem. *P.*

Konkurs jedwabniczy. W zeszłym miesiącu Towarzystwo jedwabnicze rozesłało do wszystkich nauczycieli wiejskich ośmiu gubernij Królestwa (prócz lubelskiej i siedleckiej, gdzie już w roku zeszłym w ogrodach plebańskich czyniono próby) po $^1/_2$ łuta nasienia morwy łącznie ze wskazówkami co do jej zasiewu. Taka ilość nasienia, przy starannej hodowli, przypuszczano, że wyda każdemu hodowcy około 1,000 płonek. Żeby zaopatrzenie różnych okolic kraju w nasienie i wogóle uprawa morwy dały jaknajlepsze wyniki, żeby pobudzić nauczycieli wiejskich do wyścigu na tem polu i energiczniejszego probierstwa po wsiach i gminach, Towarzystwo jedwabnicze postanowiło ogłosić w tym celu na rok 1895 konkurs. Polegać on ma na tem, że kto z 1,932 nauczycieli, obdarzonych już nasieniem, po latach trzech (tj. w 1895) wychowa najobfitsze i najstaranniej pielęgnowane szkółki płonek morwowych, otrzyma 50 rs. nagrody. Nadto, kto z nich w każdej gubernii z osobna stworzy najbogatszą i najwzorowiej prowadzoną szkółkę, dostanie 10 rs. Ci, którzy pragną wziąć udział w popisie, po zasianiu w r. b. nasienia, zgłosić się winni do zarządu Towarzystwa (Warszawa, Nowy Świat 41) po dalsze wskazówki. W lecie 1895 delegowani od zarządu Towarzystwa wraz z uproszonymi specyalistami zwiedzą na miejscu szkółki stające do popisu i stosownie do zdania zarządu Tow. w jesieni tegoż roku przyznają i rozdadzą pomienione wyżej nagrody.

Widzimy z tego, jak i z wielu innych kroków Towarzystwa jedwabniczego, że ono energicznie i zręcznie dąży do wytworzenia u nas technicznych warunków dla nowej gałęzi przemysłu tkackiego. Z czasem — powiedzmy to sobie z góry dla uniknienia późniejszych rozczarowań — gdy chłop stanie się plantatorem morwy i hodowcą jedwabnika i wystąpi z nią na rynek, znajdzie się w takiem położeniu względem przetwórcy, w jakiem znajdują się obecnie gdzieindziej drobni plantatorzy buraków. *Z. A. P.*

Odczyty. Wykłady dr. Nusbauma o chorobie, które zgromadziły mniejszą ilość słuchaczów, niż zasługiwały, przeplótł P. Chmielowski odczytem o postaciach kobiecych w komedyach Fredry. Prelegent przeprowadził cały szereg bohaterek znakomitego pisarza, przybranych w rysy charakterystyczne, zatrzymawszy uwagę słuchaczów dłużej na Klarze i Anieli (ze „Ślubów panieńskich"). Według niego najbardziej dodatnim charakterom niewieścim Fredry brak jeszcze tych pierwiastków, których wymagają zadania i potrzeby życia nowoczesnego — energii, samodzielności, wiedzy itp. Są to istoty skreślone barwnie, nieraz wdzięczne i piękne, ale zajęte wyłącznie rozwiązywaniem węzełków miłości. Odczyt ten ma być drukowany w *Tygodniku ilustrowanym.*

Sprawy społeczne. Wielu urzędników leśnych spadłych z etatu z powodu reformy, pozbawionych, praw emerytalnych i zapomóg, wniosło podanie do ministeryum dóbr państwa o wsparcia. Obecnie interesowani za pośrednictwem kancelaryi p. oberpolicmajstra warszawskiego otrzymali zawiadomienie, iż prośby ich przyjęto i że wkrótce nastąpi wypłata pensyi w poprzednich rozmiarach zaetatowych. Jednocześnie od okręgów leśnych nadeszły wiadomości, iż projekt wypłacania pensyi urzędnikom leśnym, którzy przesłużyli znaczną liczbę lat (bez praw atoli emerytalnych) — jest bliski urzeczywistnienia.

— Magistrat warszawski rozpatruje obecnie projekt Tow. przemysłu i handlu — zawiązania w Warszawie Stowarzyszenia wkładowo-pożyczkowego, do którego mógłby należeć każdy mieszkaniec Warszawy, przyjęty na członka drogą głosowania.

— *Mosk. Wied.* donoszą, iż do układów o serwitutach w gub. kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej, wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej, zamiast jak dotąd, zgody jednomyślnej włościan, wymagana tylko będzie większość $^2/_3$ głosów.

— Na podstawie statystyki kryminalnej *Now. Wr.* zaznacza fakt, iż ze wszystkich narodowości, wchodzących w skład Rosyi europejskiej, żydzi zajmują pierwsze miejsce pod względem skłonności do przestępstw. Z pomiędzy skazanych w r. 1883 przez władze sądowe przypada jeden przestępca na: 715 żydów, 1,700 odszczepieńców, 2,081 katolików i 2,710 prawosławnych.

Zbliżony do tych cyfr stosunek zauważono w następnych latach.

— W *Zbiorze praw* ogłoszono przepisy o karach w wypadkach powtórzenia przestępstwa przed upływem określonego terminu po pierwszem. Za termin taki dla skazanych na roboty ciężkie będzie uważane lat 10; dla skazanych na pozbawienie praw szczególnych i na osiedlenie w Syberyi lub na oddanie do aresztanckich rot poprawczych — lat 8, dla skazanych na osiedlenie w oddalonych miejscowościach państwa, oprócz Syberyi, lub na zamknięcie w więzieniu z pozbawieniem praw szczególnych — lat 5; dla szlachty, duchowieństwa, obywateli „poczesnych," skazanych na więzienie za kradzież, oszustwo, roztrwonienie majątku — lat 3; dla skazanych na więzienie za wszelkie inne przestępstwa — 2 lata. Na mocy nowych przepisów, osoba, która dopuściła się przestępstwa po ogłoszeniu wyroku sądowego, lecz przed odbyciem kary, skazana będzie za nowe przestępstwo, niezależnie od kary za poprzednie.

Szkoły. Komisya, zajmująca się sprawą wyższego wykształcenia fachowego, przyjęła w zasadzie projekt otwarcia w różnych miejscowościach państwa wyższych szkół rolniczych.

— Na przyszłym zjeździe lekarskim w Moskwie rozstrzygana będzie sprawa kursów weterynaryi dla kobiet.

— W szkołach rzemieślniczo-niedzielnych w Warszawie jest miejsc wolnych 174.

— Komisya parlamentu w Berlinie zaprotestowała przeciw utworzeniu gimnazyum żeńskiego, oraz dopuszczenia kobiet do studyów filozoficznych, natomiast pozwoliła im składać gimnazyalne egzaminy dojrzałości i uczęszczać na wykłady lekarskie.

— Gazety petersburskie donoszą, iż departament lekarski otrzymał podanie p. Sitkiewiczowej, pierwszej kobiety, która zdobyła patent prowizora farmacyi, o pozwolenie otwarcia w Warszawie apteki, obsługiwanej przez kobiety, oraz szkoły, przygotowującej farmaceutki do egzaminu wstępnego.

Zdrowie publiczne. Oprócz miejskich, powstaną latem stacye bezpłatnego szczepienia ospy po za miastem w Mokotowie, Czerniakowie, Woli, Markach, Wawrze i osadzie Powązki. Nadzór nad stacyami obejmą lekarze powiatowi, pod których kierunkiem szczepić będą felczerzy.

— Z wprowadzeniem w życie nowego prawa o karach za fałszowanie artykułów spożywczych, w miastach urządzone będą specyalne laboratorya do rozbiorów prób. Dla uniknienia nadużyć próby oddawane będą do laboratoryów za pośrednictwem oddzielnych komisyi sanitarnych, bez wymienienia nazwiska osób, od których pochodzą. Porozumiewanie się interesowanych z pracownikami laboratoryów będzie wzbronione.

— W departamencie lekarskim opracowano nowe przepisy o urządzeniu dozoru sanitarnego nad szkołami, tudzież program, według którego mają być na przyszłość gromadzone wiadomości o szkołach. Stosownie do nowych przepisów postanowiono zaznajomić nauczycieli z rozpoznawaniem pierwszych objawów chorób zakaźnych u dzieci. Nadto rady pedagogiczne obowiązane będą w porozumieniu z lekarzami miejskimi ściśle przestrzegać warunków hygienicznych w obrębie szkoły.

— Przy opracowaniu ogólnego projektu budowy i urządzenia nowego szpitala żydowskiego w Warszawie, komitet zwrócił szczególną uwagę na oddział dla obłąkanych. Znacznie odsunięty od ogólnego szpitala stanowić będzie prawie oddzielny zakład, urządzony według najnowszych wymagań zdrowotnych i technicznych.

— W ambulatoryach bezpłatnych korzystało z porady lekarskiej od 13 stycznia do 13 marca 1,770 na Szmulowiznie i 561 na Koszykach.

Sprawy kolejowe. Zarząd kolei Wiedeńskiej przekształca bilety abonamentowe. Zamiast książeczek z 20 kartkami w jedną i 20 w drugą stronę, będą wydawane bilety kartonowe pojedyncze, z oznaczeniem 20 numerów u góry i tyluż u dołu. Podróżny tym sposobem uniknie chodzenia do kasy dla ostęplowania, cała zaś kontrola ograniczy się na wycięciu jednego lub kilku numerów przez konduktora, stosownie do liczby osób jadących.

— *Now. Wr.* pisze: „W połowie maja do Warszawy delegowana będzie specyalna komisya, złożona z przedstawicieli ministrów: komunikacyi i skarbu oraz kontroli państwa, w celu przyjęcia kolei Terespolskiej dla skarbu. Linia ta wraz z kolejami: Brzesko-Chełmską i Siedlecko-Małkińską przyłączona będzie do sieci kolei rządowych Poleskich."

— Wydział telegrafu na kolei Wiedeńskiej od z. m. powiększono o 20 etatowych telegrafistów stacyjnych. Dwanaście miejsc wolnych zajmą aplikanci tegoż wydziału, w miarę oznajmienia się z czynnością.

Wystawy i Zjazdy. Na prośbę wybitniejszych ogrodników łódzkich, warszawskie Tow. ogrodnicze podjęło się urządzenia wystawy w Łodzi między 5 a 9 września r. b.

— Otwarto w Moskwie wystawę obrazów starożytnych i nowych, tudzież dzieł sztuki należących do osób prywatnych. Dochód przeznaczono na rzecz ludności, dotkniętej nieurodzajem.

— Na propozycyę stałej komisyi kongresów kolejowych międzynarodowych w Brukselli, czwarta serya kongresu odbędzie się w Petersburgu 20-go sierpnia (n. st.) r. b.

Wypadki. Z Petersburga telegrafują, iż 4 b. m. w fabryce prochu na Ochcie zdarzył się wybuch 350 pudów pyroksyliny w jednym z budynków oddziału prochu bezdymnego, w suszarni murowanej z cegły. Budynek z fundamentami wyleciał w powietrze i zniknął bez śladu wraz z robotnikami. Na odległości przeszło 100 sążni znaleziono zupełnie bezkształtne części ciał ludzkich. Skutkiem wstrząśnienia ucierpiały niektóre sąsiednie gmachy fabryczne, przyczem 5 robotników otrzymało rany. Wybuch był tak silny, że na odległości dwóch wiorst popękały sufity i potłukły się szyby.

Bibliografia. M. Gawalewicz, *Zorza*, galerya szkiców z natury (z ilustracyami Stachiewicza), str. 279, Warszawa Gebethner i Wolff.

— *Z mego albumu*, zbiór szkiców i obrazków, str. 273, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— J. Nieciengiewicz, *Jedwabnictwo*, wyd. 2, str. 134, Warszawa.

Zmarli. Adam Bar, w Warszawie; profesor b. instytutu agronomicznego w Marymoncie, inspektor szkół w Częstochowie, ostatnio dyrektor szkoły realnej w Warszawie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Kar. Sniech. w Kazaniu. Czy *Encyklopedya rolnicza* wychodzi w stałych odstępach czasu i ile zeszytów dotąd wydano, nie wiemy, gdyż jej redakcya ani nie ogłasza, ani nie nadsyła książek. Co do *Encyklopedyi ilustrowanej* niech Pan również zwraca się do niej bezpośrednio (Chmielna 9).

Ero. Niech Pan nie nagli, bo rękopis Pański czeka na przeczytanie nie sam, ale ze stosem innych.

Pani W. W. Jeżeli autor osłania się pseudonymem, to przecież go nie możemy zdradzać.

P. M. B. Nie ma narodu, który by miał pamięć równie krótką. Wczorajszy oszust bywa jutrzejszym „mężem zaufania publicznego."

P. J. L. Wszystkie te wyrazy przetłomaczy Panu pierwszy lepszy słownik.

P. Ad. Z. w R. Bezwarunkowo — nie.

C. P. Postać Pańskiego bohatera może być wyraźna i zrozumiała tylko dla tych, którzy na takie istoty zbliska i z osobistem zaciekawieniem patrzą. Dla ogółu naszych czytelników jest to zero związane w monogram z pytajnikiem. Co do opracowania, rzecz dziwna, z rysami talentu mieszają się usterki językowe, nawet ortograficzne.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Марта 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski**.